ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO KULTURALNY

ROK III Nr 20/99 Londyn, dnia 15 maja 1949 CENA 9 d

MANIFESTACJA RELIGIJNA POLSKIEJ MŁODZIEŻY AKADEMICKIEJ W ANGLII

W niedzielę dnia 8 maja odbyła się imponująco zorganizowana Pielgrzymka Akademicka do Walsingham. Wzięło w niej udział 938 osób. Oprócz Akademików i Profesorów przybyły do Walsingham delegacje polskiej młodzieży męskiej i żeńskiej szkół średnich, była także grupa przedstawicieli starszego pokolenia, sympatyków młodzieży akademickiej oraz P. K. S. U. Veritas.

Sprawozdanie i fotografie z pielgrzymki zamieścimy w następnym numerze naszego pisma.

JÓZEF KISIELEWSKI

KTO WYDA „KSIĄŻKĘ O KOŁYMIE"?

1

We wczesnych latach trzydziestych, był to może rok 1932 lub 1933, lata wielkiego głodu na Ukrainie sowieckiej, spędziłem wakacje w tyle później osławionych Zaleszczykach. Nie wiem, czy to na mnie tylko, nieprzyzwyczajonego do akcesoriów bogatego próżniactwa, to pensjonatowe zaleszczyckie lato zrobiło wrażenie takiej pełni dosytu i beztroski, czy też sezon był rzeczywiście wspaniały. Pensjonaty Zaleszczyk huczały dostatnim życiem, restauracje zawodziły jazzem, po okolicznych szosach biegały luksusowe samochody.

Przed wieczorem chodziło się z pensjonatów całymi stadami na przedmieście do ogrodnika po południowe owoce „polskiej Riviery". Szli dyrektor banku, generał z Warszawy, sławny chirurg, kierownik instytucji kolportażowej na całą Polskę, z żonami, było kilka pięknych panien, otoczonych młodzieżą. Ogrodnik kręcił się po inspektach, przynosił melony i winogrona. Ale dnia tego milczał i nie śmiał się, jak zwykle. W pewnej chwili ktoś otworzył drzwi jego domu, przed którym staliśmy. Na dworze był już dobry zmrok, a w izbie paliła się ostra żarówka, więc wnętrze można było widzieć, jak scenę. Nigdy jej nie zapomnę.

Na środku pokoju stało widmo ludzkie. Zapadnięta, straszna twarz z jednym oczodołem zaciek'ym krwawą wilgotną pustką; twarz prawie sina. Był boso, w łachmanach. W pochyleniu postaci czaiło się coś nad wyraz tragicznego. Musiał stać w pokoju i wpatrywać się nieruchomo w światło, lecz gdy spostrzegł, że otwarte zostały drzwi i patrzą na niego ludzie, podniósł szybko ramię, jak przed ciosem. Ogrodnik poszedł do drzwi i zamknął je gwałtownie.

— To mój brat. Nie widziałem go piętnaście lat. Przed dwiema godzinami przywieźli go z granicy — powiedział.

Obraz ten wrył się w moją pamięć przez swój szczególnie ostry kontrast. Z jednej strony cały urok i dostatek życia, z drugiej ułachmaniona nędza. Silne, dobrze odżywione ciała i rozpuchnięty, nabiegły ropą i wrzodami, rozdarty raną twarzy kadłub ludzki. Perfumy i smród. Krygowanie się ważnością stanowisk, puczenie tytułami, przerzucanie zwykłymi, przynależnymi człowiekowi przywilejami normalnego życia i zaszczucie aż do zwierzęcego lęku. Na Zbruczu leżała nie tylko granica dwóch państw, po tej rzece biegła linia podziału ludzkiego losu. W tym znaczeniu była to granica nie tylko Polski, ale granica świata. Rozdzielała dwa typy warunków życia.

Z jednej i drugiej strony istniała tendencja do szczelnego zapierania granicy. Od naszej strony również. Zamykała ją, oczywiście, nie sama i nie przede wszystkim Polska. Zamykał ją cały bogaty, dostatni, szczęśliwy świat ludzi sytych. Cała Europa i cała Ameryka. Ten świat nie lubi wiedzieć o nieszczęściu. Jeśli rozszaleje się ono na którejś jego części, natychmiast egoizm mobilizuje jakieś specjalne fagocyty, które budują wokół zapowietrzonego terenu otamowania, piętrzą wszelkiego rodzaju zderzaki. Nieszczęsny teren jest niebawem przysypany i zaryglowany na cztery spusty niepamięci, aby na pozostałym można prowadzić normalne życie. Męka 200 milionów ludzi nie przeszkadza odczuwać szczęścia całej reszcie.

Polacy, który przeszli przez Rosję, opowiadają wstrząsające rzeczy o życiu sowieckim, o warunkach w sowieckich obozach koncentracyjnych. Ale to, co porusza w tych opowiadaniach najbardziej, to wiadomości o powszechnym oczekiwaniu odmiany, która musi nadejść. Ludzie męczą się w mordowniach obozów koncentracyjnych, odsiadują swe pięcio, ośmio i dziesięcioletnie „wyroki", dostają nowe, ulegają kalectwom, głodują, mrą — ale nad tym całym olbrzymim więzieniem unosi się nieustannie mglista nadzieja odmiany. Beznadziejność i zawód nadzieje te stępiają po pewnym czasie, ale fale za falami wlewają świeże kontyngenty więźniów i razem z nimi znów żar nadziei odżywa. I płonie dalej. Nikt nie wie, kiedy się odmiana dokona, ale jest przecież jeszcze gdzieś świat szczęśliwy i dostatni. On spowoduje odmianę. Jeśli tego nie dokonał dotychczas to dlatego, że nie mógł, a nie dlatego, że zapomniał, lub dlatego, że go to nic nie obchodzi.

Dobrze zaiste, że ci biedacy nie znają prawdy. Męka choćby milionów ludzi w rzeczywistości świata nie obchodzi. Sentymentalnie, we frazesach w propagandzie, tak; istnieją protesty, artykuły w gazetach, wzmianki w parlamentach. Ale fakt istnienia masowego bólu ludzkiego w najmniejszej mierze nie jest przecież motywem działania politycznego. Nikt nie zmobilizuje krucjaty po to, aby dwadzieścia milionów ludzi przestało mieć szkorbut i opuchliznę głodową. Po pięciu ludzi na krze podbiegunowej poszlą okręty, wydadzą stosy pieniędzy, zapaskudzą obłudną farbą drukarską setki kilometrów dziennikarskiego papieru, ale ekspedycji ratunkowej po 200 milionów nie poszlą.

Jest to, zresztą przyznaję, diablo trudna sprawa. To zamykanie się przed bólem, tragedią i nieszczęściem innych, to wypieranie z mózgu świadomości jego istnienia, ma swoje głębokie przyczyny. Zapomina się o nieszczęściu innych, udaje się, że go wogóle nie ma po to, aby móc zbudować dostatnie życie dla swoich. Jeśli nie można obdzielić ludzkimi warunkami życia wszystkich, trzeba to zrobić w stosunku do tylu, ilu można objąć, a o reszcie trzeba zapomnieć. Działanie polityczne zawsze było oparte na skrajnym egoizmie i wszelkie podkładanie pod politykę motywów humanitarnych było dotąd zawsze naiwnym złudzeniem. I zawsze miał ten egoizm pełne gardło argumentów przekonywujących. Politycy o najczulszych nawet prywatnie sumieniach, w swoim działaniu zewnętrznym przyjmują bez protestu założenie, że światem rządzi się przez wulgarną siłę, a takim rzeczom, jak krzywda, można i trzeba współczuć, lecz nie wolno się nimi powodować. Czyż więc można żądać od świata, — mówią realiści — aby mogąc uratować dla normalnego życia część, a nie mogąc uratować wszystkich, wszystkich narażał niemądrą donkiszoterią?

Kiedy patrzyłem w r. 1945 po ustaniu działań wojennych na namiętne wprost dążenie społeczeństw, które wyszły z wojny obronną ręką, do urządzenia z powrotem normalnego życia za wszelką i za każdą cenę, coraz lepiej rozumiałem, że w tym splocie rzeczy leży krzyżowy punkt naszej epoki. Aby to normalne życie przywrócić, wyrzekano się wszystkiego, sprawiedliwości, lojalności, humanizmu, zapominano o wszystkim, o otwartych ranach, o głodzie, o masowych więzieniach. Odbijano black-outy, czyszczono ogródki, zawieszano firanki. Mój Boże, takie zrozumiałe i oczywiste rzeczy. A jednak gdy się zapalały światła pokoju na placach miast zachodniej Europy, zaraz za kręgiem tych świateł istniała czarna, głucha noc nieszczęścia, aż gęsta od samotnego skowytu ludzkiego. W obozach „displaced persons" krwawiły miliony tragedii ludzkich, w dziesiątkach krajów Europy każda izba wzdychała jakimś nieszczęściem, które przeszło, ale które skończy się naprawdę dopiero z końcem pamięci człowieka. W takie noce dziesiątki tysięcy ludzi pakowano do więzień, tysiące po takich właśnie więzieniach rozstrzeliwano, inne tysiące „przesłuchiwano". Komuś wydłubywano oczy, innemu wbijano rozpalony drut za paznokcie. Na olbrzymich przestrzeniach wschodniej Europy i Azji po zawszonych pryczach przewracały się w ciężkim śnie półmartwe zwłoki ludzkie pasując się między rozpaczą i nadzieją. Świat aż wibrował od stężonego bólu ludzkiego.

A dziś, po czterech latach nic się w tym przecież nie zmieniło. Noce i dnie są takie same.

Jest więc obowiązkiem rozrywać ten sztuczny trans udanej pogody i normalności, a mówić, jak jest naprawdę. Ostatnie dwa stulecia nauczyły, że lekceważenie ucisku człowieka, odsuwanie go od należnego udziału w życiu — prowadzi do powikłań społecznych groźniejszych od najgroźniejszej wojny. Lecz jakże blady jest ucisk chłopa i robotnika ubiegłych stuleci w porównaniu z uciskiem dzisiejszym. Jeżeli tamte dzieje nazywano „rewolucją wyzysku", to czyż nie wzbiera potężna „**rewolucja bólu ludzkiego**"? I niech nikt tu nie zaprzecza — obydwie są faktami politycznymi, jak najbardziej wpływającymi na historię. To morze bólu, które rozlało się dziś po świecie, spełnia tę samą funkcję, którą spełnia ból w organizmie jednostki: funkcję alarmu. Za bólem stoi jego przyczyna, która go powoduje. Musi być o niej głośno, jeśli cały organizm nie ma być objęty gangreną.

2

Praktyczą wiedzę sowietoznawczą wywiozło z Rosji tysiące Polaków. Składali oni później dokładne zeznania. Z tych raportów powstały całe

NOTATNIK

„TY SYNU..."

Moskwa proponuje w związku ze zniesieniem blokady Berlina wznowieniem konferencji czterech ministrów Spraw Zagranicznych. Z dawnej czwórki pozostałby jedynie Bevin. Schuman zastąpiłby Bidault'a, Acheson zająłby miejsce Marshalla, Wyszyński — miejsce Mołotowa.

W „Wielkiej Czwórce" zasiadłby w ten sposób człowiek, który jako prokurator mówił do oskarżonego Bucharina: **„Ty synu byka i świni".** Observer z dn. 3 lutego 1946 roku przytoczywszy to powiedzenie Wyszyńskiego skierowane do wielkiego uczonego i rewolucjonisty zaznaczył, „**że dialogi między nim a oskarżonym** pozostaną po wsze czasy dokumentami najbardziej bolesnego i straszliwego poniżenia człowieka".

Upadek naszej cywilizacji sprawia, że takie „dokumenty" **nie zamykają** byłemu prokuratorowi moskiewskich procesów drogi do udziału w naradach **na najwyższym szczeblu w światowej** hierarchii politycznej.

ZWYKŁYM KOMUNIKATEM

Przy pomocy prostego komunikatu z posiedzenia premierów zmieniono zasadę Brytyjskiej Wspólnoty Narodów. Król angielski w stosunku do jednych krajów jest nadal królem, jest np. królem Kanady czy Australii, w stosunku do innych jest już tylko prezesem prezydentów. Indie będą miały prezydenta i będą republiką ale uznają prezesurę króla angielskiego. W ich ślady **pójdzie może** Południowa Afryka. Tylko Anglicy umieją wynajdywać takie urągające wszelkiej logice ale nadzwyczaj użyteczne w praktyce formuły.

Inny naród byłby siłą trzymał swoje imperium w jedności i chwale **może do 1920 a może do 1940, poczym** by je gruntownie stracił. Anglicy ustępują po trochu, zastępują jedne więzi innymi i dokonują takich dziwów jak utrzymanie związku państw, których nie łączy już dzisiaj ani język ani religia ani obyczaj ani nawet, jak niegdyś, panowanie floty angielskiej na morzach i City of London na rynkach świata. Co je łączy? Każdy z każdym co innego, niektóre z całością tylko trochę interesów i dużo przyzwyczajenia. W godzinach zagrożenia, jak dotąd szły razem, z wyjątkiem jednego, tego, którego usiłowano siłą zatrzymać we wspólnocie — Irlandii.

REYNOLDS CZY PICASSO?

Sir Alfred Munnings, prezes Królewskiej Akademii i znany malarz koni i pięknych amazonek, przewodnicząc na dorocznym bankiecie Akademi, pierwszym po 10 letniej przerwie, wygłosił mowę, która w zdumienie wprawiła dostojne grono biesiadników, a do wściekłości doprowadziła licznych słuchaczy tego **przemówienia**, transmitowanego przez B.B.C. W bankiecie uczestniczyli książe Gloucester, anglikański arcybiskup Canterbury, marszałek Montgomery i p. Wintson Churchill.

Sir Alfred nawymyślał Matisse'om i Picassom od bazgraczy i **pacykarzy** „którzy nie umieją namalować drzewa **tak,** by było podobne do drzewa". Wśród wrzawy i protestów części audytorium wyprowadzony z równowagi przewodniczący, krzycząc prawie, upierał się, by zakończyć historyjkę o swym dialogu, odbytym kiedyś w czasie spaceru z Churchillem:

— Alfredzie, mówi mi Churchill, gdyby tak ulicą szedł ku nam Picasso, czy pomógłbyś mi sprać mu pewną część ciała?

— Licz na mnie, Winstonie, odpowiedziałem.

Tak chwalił się Sir Alfred dodając, że są jeszcze na szczęście ludzie, którzy wolą Reynolds'a od Picassa.

ZANIK PAMIĘCI

W żadnym kraju nie zdarza się tak często jak w Anglii, że znajdują kogoś, kto cierpi na zanik pamięci i nie wie kim jest. Wzmianki o takich wypadkach czyta się w prasie co parę dni. Niedawno do posterunkowego na Hyde Park Corner podszedł młody człowiek, który oświadczył, że nazywa się tak a tak, ale nie wie ani gdzie mieszka ani co robi.

Istotnie w kraju, gdzie wszyscy prawie mieszkają w takich samych lub bardzo podobnych domkach, prowadzą taki sam **lub bardzo podobny** tryb życia jak ich sąsiedzi, czytają te same gazety, oglądają te same filmy, pracują w takich samych fabrykach i biurach, do której o tej samej porze jeżdżą tymi samymi środkami lokomocji, gdzie wszyscy prawie **myślą** tak samo i na te same tematy, nietrudno zapomnieć kim się jest. Nie dziw, że ktoś w końcu zapomina czy jest sobą czy Gentleman next door, czy jest 104 Park Hill Road czy też 107 Hill Park Road.

Nazwisko jeszcze pamięta się najdłużej. Gdy już nic poza nim nie pozostaje z **poczucia osobowości, jedyna** rada podejść do stróża porządku publicznego i prosić o zbadanie i autorytatywne stwierdzenie ...kim się jest.

CYFRY P. MAYHEW.

W dniu 3-go maja 1949 podsekretarz Stanu w Foreign Office p. Mayhew oświadczył w Izbie Gmin, iż cyfry dotyczące osób znajdujących się w Rosji w obozach karnych przymusowej pracy, podane przez źródła najbardziej odpowiedzialne, wahają się pomiędzy 5 a 12 milionami ludzi. Kakie katusze znieśli ci ludzie przed dostaniem się do miejsca katorgi? Jaka jest matematyczna formuła maksymalnej rentowności skazańca (stosunek wartości wyżywienia do wydajności godzin pracy, zużycia organizmu w zależności od wieku i budowy!)

Czy nie zapytać raczej wobec tak miarodajnego stwierdzenia, jak w jego świetle wygląda dziś udział przedstawicieli Z.S.S.R. w charakterze sędziów na rozprawach norymberskich?

MEMENTO.

Naczelny Prokurator w procesach norymberskich, amerykanin, generał Telford Taylor wygłosił w tych dniach znamienne przemówienie, które nie znalazło szerszego echa w prasie światowej. Nie można powiedzieć. iż nie miał on **dostatecznych** sposobności dla poznania Niemców i nazizmu, gdy się zważy iż występował on w 12 procesach, w których sądzono 185 przestępców wojennych.

archiwa aktów. Opracowano na ich podstawie kilka dobrych referatów. Ale świadectwo prawdzie może dać jedynie i naprawdę dopiero słowo pisarza, ponieważ jedynie ono zdolne jest przez swą lotność przebić się przez zamierzone milczenie świata, który zatyka uszy i nie chce słyszeć.

Wyszło z wielkimi trudnościami kilka takich utworów literackich. Na pierwszym miejscu stoją utwory-zeznania: Rudzkiej, Grubińskiego i Czapskiego. Wstrząsająca książka Marii Rudzkiej „Z domu niewoli" wyszła po polsku i już w trzech językach obcych. Wspaniała książka Wacława Grubińskiego „Między młotem a sierpem" wyszła po polsku i ma wyjść po angielsku. Książka Józefa Czapskiego „Wspomnienia starobielskie" ukazała się po polsku i francusku. Wielkiego tomu tego autora p.t. „Na nieludzkiej ziemi" nie miałem jeszcze okazji przeczytać, ale ze wszystkich głosów wynika, że jest to również dzieło znakomite i powinno jak najszybciej ukazać się w językach obcych. Wszystkie te książki, wsparte talentem autorów, drążą sobie ścieżki do świadomości czytelnika cudzoziemskiego i otwierają mu oczy na istotę wielkiego dramatu, jaki u rogatek jego pozornie spokojnego, normalnego życia się rozgrywa. Dla całego tego działania dowodowego podstawą i punktem wyjścia są naprzód wydania polskie.

Dawnę więc być musi świadectwo prawdzie z dwóch powodów: raz dlatego, aby odsłonić istotę i rozmiar istniejącego nieszczęścia oraz groźby, powtóre, aby spłacić dług wobec tych, którzy są nim jeszcze w pełni objęci. Z ponad miliona Polaków, którzy zostali do Rosji deportowani, część umarła, część uszła z wojskiem zagranicę, część wróciła do Polski, ale wielka część ciągle jeszcze dogorywa po sowieckich obozach pracy, uzupełniana świeżymi partiami. A przecież są tam nie tylko Polacy. Są tam w tysiącach i milionach wszystkie narodowości. A w ogóle jest tam przede wszystkim — człowiek. Trzeba wszystko zrobić, aby w jego imieniu mógł być podnoszony jak najgłośniejszy protest. Podtrzymywanie tego protestu dla tych, którzy Rosję przeszli, a którzy nie mogą wygasnąć od najgłębszej odrazy i chęci sprawiedliwej pomsty — jest jednym ze sposobów pozbywania się urazu głębokiej nienawiści.

3

Przed miesiącem czytelnik polski na emigracji przeczytał w naszym piśmie list do redakcji, podpisany przez Anatola Krakowieckiego, a zaopatrzony tytułem „Kto wyda książkę o Kołymie?" Krakowiecki, wybitny dziennikarz polski, przeszedł przez podbiegunowe okolice Rosji, przez obozy Kołymy. O przejściach swoich napisał książkę, której wydanie uważa za wielki obowiązek swojego życia i spłatę długu wobec łaski losu. Udawał się do wszelkich możliwych instytucji polskich, kołatając o pomoc w wydaniu książki. Gdy wszelkie zabiegi nie dały rezultatu, rozpisał listy do redakcyj, tą drogą starając się otrzymać pomoc na wydawnictwo. Wszystko daremnie. Książka nie może się dotąd ukazać.

Można, zapewne, raz jeszcze w nieskończoność podnosić pretensje i skargi, że urzędy źle zużyły pieniądze polskie, że nie pomyślano o tym, aby zabezpieczyć bytu najpotrzebniejszych książek polskich. Na nic się to wszakże nie przyda, a tylko niepotrzebnie wydmie wątrobę i rozleje jeszcze szerzej żółć. A tymczasem książka Krakowieckiego o Kołymie wyjść musi!

Zgodziliśmy się z autorem, że można spotkać się z nieczułością i niezrozumieniem w urzędach, ale słuszna i nieodzowna potrzeba nie spotka się z niezrozumieniem u społeczeństwa. I z tego prostego twierdzenia powstał niniejszy artykuł.

Miało by więc być tak: W dniu ukazania się niniejszego artykułu otwarta zostaje na okres jednego miesiąca (od 15 maja do 15 czerwca b.r.) subskrypcja na książkę Anatola Krakowieckiego p.t. **„Książka o Kołymie"**. Autor książki i autor niniejszego artykułu zwracają się przez wydawnictwa „Veritas" oraz przez całą prasę polską, która będzie chciała ten apel wesprzeć, do czytelników polskich z prośbą, aby pod adresem **„Veritas Foundation Publication Centre" (12, Praed Mews, London, W. 2.)** nadsyłali zamówienia subskrypcyjne na książkę wraz z należnością. Książka w handlu księgarskim kosztować będzie 12/6. Czytelnik, który zakupi ją w subskrypcji do dnia 15 czerwca b.r., zapłaci za nią tylko 6/6. Wcześniejsze nadesłanie zamówienia i pieniędzy nie tylko da subskrybentowi książkę za połowę ceny, ale pozwoli wogóle ją wydać. Jeżeli nadejdzie conajmniej 300 zgłoszeń subskrypcyjnych, wydanie książki będzie zapewnione. Istnieje bowiem w takim wypadku obietnica pomocy ze strony instytucji społecznych oraz wydawnictwa „Veritas" które „Książkę o Kołymie" będzie firmowało jako wydawca.

4

Całe to przedsięwzięcie — jak to z powyższych słów jasno wynika — ma charakter akcji zespołowej. Wydawanie książek polskich na emigracji przez firmy wydawnicze, czy instytucje publiczne jest w tej chwili niemożliwe ze względu na wielkie koszty wydawnicze i brak funduszy przeznaczonych na cele kulturalne. Książka polska nie może jednak zamrzeć. Jest ona takim samym instrumentem politycznego działania, jak wszystkie inne czynności z tego zakresu. Jest ona środkiem i bronią w walce o wolność. Należy ona do zespołu uzasadnień pozostania Polaka na emigracji. Musi być ona świadectwem żywotności polskiej myśli i polskiej kultury, wielkiego gwaranta przetrwania najcięższych burz.

Książka polska musi się nadal ukazywać. A jeśli nie może wychodzić nakładem instytucji, które w normalnych warunkach wydawnictwami się zajmują, musi wychodzić wysiłkiem zbiorowym całego społeczeństwa. System, który ułożyliśmy w stosunku do „Książki o Kołymie" razem z jej autorem jest próbą takiego społecznego działania. Główny udział w tej próbie ma pojedynczy człowiek. Od niego zależy, czy książka polska nie będzie musiała zamilknąć.

Subskrypcja na „Książkę o Kołymie" zostaje niniejszym otwarta!

Józef Kisielewski.

ANDRZEJ BOBKOWSKI

Z DZIENNIKA PODRÓŻY

ROZSTANIE

Dokończenie

Paryż, 17.6.48.

Popołudniu znowu pożegnania. Zamiast rozmawiać było by lepiej odrazu pisać list do osoby, siedzącej naprzeciwko. Przynajmniej czuło by się kontakt. W rozmowie między wyjeżdżającym do „dzikich krajów" (Europejczykom wydaje się teraz, właśnie teraz, że wszystko poza Europą jest dzikie. Groźne zboczenie) pozostającymi, nie ma właściwie nic żywego. Rozdziela nas już ocean, a nie mały stolik kawiarniany. Rozmowa trochę jak: „Pójdziesz na ryby? Nie mogę, bo idę na ryby". Potem ulice, stare, zachodzone. Jak w momencie śmierci, wszystko nagle powraca, całe życie. Nie ma lat, pór roku. W tym samym zachwycie, jak wtedy, po raz pierwszy, ogarnia się drzewa nad Sekwaną, kościaną biel łuków Notre-Dame. Odrąbuje się kawał życia jak maszt okrętowy w czasie burzy. Trudno.

Cannes, 20.6.48.

Półmrok w pokoju pensjonatowym, bo okiennice zamknięte. Tam słońce i mistral. W szparze lśni jakaś biała ściana na tle błękitu. Biel i błękit, dwa tutejsze kolory, których nigdy nie dosyć, zawsze za mało.

Jakieś szwy już puściły. Pisanie o wczoraj, całym wielkim wczoraj, jest pisaniem wspomnień z odległych lat. Ostatni dzień w Paryżu, sobota. Słońce wpadało przez okno, siedziałem w fotelu i pisałem ostatni list. Jak przed egzekucją. Kufry i walizki stały już powiązane, z nalepkami Linji Gdynia-Ameryka i z napisami „Cristobal Colón — Panama". Bzdura. Piszę list i staram się ich nie dostrzegać. Koło 12-ej przyjechał Jacques. Robotnicy w jego fabryce i w garażach mieli wolne, jak zwykle w sobotę. Nie poprosił, krwiopijca nikogo. Przyjechał sam fabryczną ciężarówką. We dwóch znosiliśmy rzeczy na dół do samochodu. Potem siadł już w pustym pokoju, żeby odsapnąć. Myślał chwilę i nagle powiedział:

Słuchaj — jakby ci tam było ciężko, to napisz. Ja ci jakoś przyszlę pieniądze na powrót.

I nic więcej. Tylko dwie wielkie łzy kręciły mu się w oczach i wpłynęły z powrotem pod powieki. Jacques jest zawsze bardzo opanowany. Ścisnąłem mu rękę.

Potem przyszedł jeszcze Robert i we trzech pojechaliśmy do Gare de Lyon nadać toboły na bagaż. Po czym siedzieliśmy w bistro naprzeciwko dworca przy piwie. Obydwaj mówili o Francji. Ja też. Jak silnie przywiązałem się do niej. Oni chwalili moją decyzję wyjazdu. Robert: „Gdybym był młodszy, nie namyślałbym się..." To dużo mówi.

Odwieźli mnie pod dom i szybko ruszyli.

Stałem na moim Bulwarze sam, w czerwcowym słońcu. Nie biegłem już po wino, po nic. Ktoś przechodząc powiedział mi „Bon jour", ta siwa z 4-go piętra była już pijana, jak zwykle w sobotę, zatłuszczony wyżeł piekarzów robił przegląd drzew.

A ja stałem już sam, zupełnie sam.

Potem kilka najcięższych godzin. Tę drogę odbywałem po raz pierwszy pociągiem. W przedziale sami Anglicy. Cztery „gęgę" i dwa strusie. Jedli ciasteczka keksy i owoce i palili „Craven A". Czasem ktoś powiedział „gę" i po kwadransie drugie odpowiadało „gę". Rozmowa rynien po deszczu. Wyszedłem na korytarz i stanąłem przy oknie. Zapadał zmrok. Kontroler biletów zaczął mnie traktować, jak Anglika, to znaczy mówić do mnie po francusku bez okoliczników.

— Vous partir pour voir la Cote. Obrugałem go. Był bardzo zadowolony. Anglicy stali koło mnie pół godziny i coś gęgneli.

— Ah — Polish.

Cy znają nas już chyba lepiej, niż my sami. I odwrotnie...

— Do Cannes?

— Nie — do Ameryki Środkowej.

Bez wrażenia. Nic dziwnego. Świat jest jednym wielkim parkiem rozplanowanym przez Boga-ogrodnika dla dżentelmenów Zjednoczonego Królestwa, jak to gdzieś zauważył Maurois. No — już nie cały. Rozparcelowali ten ogród.

Po kwadransie:

— A ma pan tam jakiś biznes?

— Żadnego.

Po chwili:

— Polacy wszędzie sobie dają radę. Stanowczo w wielu wypadkach wykazaliśmy za wiele cnót. Traktuje się nas jak stal chromo niklową. W deszczu, w cieple, na mrozie, w kwasach — nie rdzewieje. Powiedziałem im to. W angielskim zrobiłem duże postępy i choć jeszcze gadam kulawo, to już następnym razem nie dam się — jak to mówią — sprzedać.

Lyon, noc. Żegnam się z nocą. Cisza. Tylko wzdłuż wagonów przesuwa się karawan z piwem i z wodami mineralnymi. Wchłaniam w siebie cały „urok niedosytu" tych nocy południa. Chłodniejące o świcie, pachnące, są też częścią mojego życia tutaj. Zostaję przy oknie wpatrzony w ciemność. Odejdzie ona i ja odejdę. Rozstaniemy się na długo. Przyjdą inne, już tam, może tyle, może, by wśród nich tęsknić? Nie wiem.

Świt. Łąki i lasy wyraźnieją. Nie śpię. Patrzę jak przelatują i wydaje mi się, że je wyrzucam za okno. Pędzę porywa, jak kawałek papieru lub ogryzek. A przecież ich nie dojadłem — napewno nie. Tak — ale ciągnie smak innych.

Buchnęło słońce. Z okien wagonu restauracyjnego patrzę na szafir jeziór pod Marsylią i na szare wzgórza. Rozgarniam je, szukam tej drogi, „mojej" drogi. Jak wtedy tak i dziś wieje mistral. Ostukuje ściany wagonów, furkoce i obsuwa się. Skacze po powierzchni wody.

Za skromne śniadanie na dwie osoby płacę prawie 400. — Frs. To naprawdę osiada mi rozstanie. Bo za co? Za jajko smażone, dwie filiżanki kawy, trochę chleba i naparstek konfitury. Wierzę w ducha, ale z tanimi kaloriami. Chleb i duch powinny być z masłem. Gdybym znajdował się w tłumie słuchających Chrystusa nad jeziorem Genezareth i nie dostał wieczorem cudownie rozmnożnego chleba i ryb, przypuszczam, że cała nauka o życiu przyszłym, o życiu duszy nie zrobiła by na mnie wielkiego wrażenia. Może interpretuję dowolnie, ale wydaje mi się, że Chrystus uczynił ten cud dlatego. Znał człowieka. Jak się tu martwić o kulturę, o inne używki? Najpierw odżywki, a potem używki. Odwrotna kolejność, modna ostatnio, przestała mi odpowiadać. Potem Marsylia. Poza nią nie odchodzę od okna. Srebrne, jakby posiwiałe od starości i powykręcane oliwki. Mistral odwraca im liście i migają nimi, jak lusterkami. Sady brzoskwiniowe, domki w ogródkach. Tulon, St. Raphaël, Cannes. Zajeżdżamy do „Atlantide". Drogo piekielnie.

Wieczorem. Spacer po Cannes. Jeszcze tu pustawo. Odszukałem moją ławkę i moje bistro. Potem kolacja w pensjonacie, rasowa. Przy jednym stoliku długa Angielka (20.000 mil) z czerwonym Anglikiem i z białymi dziećmi, przy drugim stara, bardzo stara, naprawdę stara Francuzka. Wymalowana, wypierścionkowana, uperfumowana, tu podparta fiszbinem, tam przysłonięta woalką — dobra rekonstrukcja ruin. Obok niej młodziutki szofer. I cały czas:

Mon chauffeur dit que le potage n'est pas assez chaud, mon chaffeur prefère le vin blanc, mon chauffeur...

Pokojówki nie mogą nadążyć. Przyglądam się jej z podziwem. Stara Francja nie rdzewieje.

Czuję się teraz jak pocisk, który już opuścił lufę, a jeszcze nie trafił w cel.

Cannes, 21.6.48.

Rano odbieram na dworcu bagaże wypełniam jeszcze jakieś kwity, wszystko z najwyższym wstrętem. Obok mnie jakiś jegomość, w kaszkiecie zsuniętym na tył głowy wymyśla urzędnikowi francuszczyzną emigrantów. Pytam o co chodzi, czy też odpływa na „Jagielle".

— Ile pan masz bagażu? — zapytuje.

— Dużo — około 400 kg., mówię.

Machnął ręką:

— Idź pan, schowaj się pan — ja mam trzy i pół tonny. Cały warsztat stolarski, komplet, z narzędziami, z drzewem na dziesięć komód luikez (Luis XV), całe urządzenie.

Dokończenie na stronie 7

NOTATNIK

Dokończenie ze str. 1

Przemówienia obrońców i akta spraw dowodzą, jak twierdzi, iż „powojenne odrodzenie gospodarcze Niemiec idzie w parze z odżyciem wojującego nacjonalizmu". Generał Taylor ostrzega „iż militarystyczne państwo niemieckie będzie niezawodnie naszym wrogiem, a nie sojusznikiem".

Mowę swą zakończył przypomnieniem, iż uzasadnienie zapadłych w procesach wyroków dobitnie podkreśla, że prawa na których się te wyroki opierają, muszą mieć zastosowanie do czynów wszystkich wyższych urzędników zarówno w państwach sprzymierzonych jak i innych krajach.

Przypomnienie bardzo na czasie.

RABIN WISE

Umarł w Ameryce rabin nowojorskiej synagogi Wise. Była to postać zardzo wybitna nietylko w życiu żydowskim ale i amerykańskim. Wise był jednym z najbliższych doradców prezydenta Wilsona w czasie pierwszej wojny światowej, potem wchodził do grona zwanego zespołem mózgów prezydenta Roosevelta. Wśród żydostwa amerykańskiego był niezaprzeczonym autorytetem. Mniej się wie poza Stanami o tym, że był także reformatorem religijnym.

Wise urodził się na Węgrzech. Siedmiu jego przodków w prostej linii było rabinami i ojciec jego wyemigrował do Ameryki jako rabin. Wise otrzymał staranne wykształcenie amerykańskie i rozpoczął pracę nad przystosowaniem mozaizmu amerykańskiego do wymogów nowoczesnego życia. W swej zreformowanej synagodze zerwał on z wieloma odwiecznymi przepisami rytualnymi, jak siedzenie w nakryciu głowy i osobne miejsca dla kobiet. Dokoła tych zmian toczyła się długi czas zażarta walka.

Najostrzejszą kontrowersję w swoim czasie i protesty nie tylko wśród żydów ale i chrześcijan wywołały poglądy Wise'a na temat Chrystusa, głoszone publicznie. Twierdził on, że Jezus należy do żydostwa a nie do chrześcijaństwa, że jest postacią historyczną, ale człowiekiem nie Bogiem.

Wise był jednym z najwybitniejszych przedstawicieli zamerykanizowanych obyczajowo, bogatych i wpływowych żydów amerykańskich. Jako polityk działał raczej zakulisowo, unikając angażowania się po stronie jednej z partii amerykańskich. Z głosem jego zawsze bardzo poważnie liczono się w Białym Domu.

LIST PASTERSKI EPISKOPATU POLSKI

Niejednokrotnie przedstawiciele reżymu deklarowali o wolności Kościoła w Polsce, to samo twierdziły liczne artykuły w komunistycznych pismach.

List Pasterski N. Episkopatu Polski, który poniżej drukujemy (wg. tekstu podanego przez „Intercatholic Press Agency") — choć w bardzo oględnych słowach maluje tragiczne położenie naszego Kościoła, który coraz trudniej może spełniać swe posłannictwo apostolskie. Z bólem wskazują N. Księża Biskupi na akcję bluźnierczą wśród młodzieży, na usuwanie krzyży, atak na zakony i instytucje katolickie, na zmuszanie do zdrady Boga i Kościoła, na niecne zarzuty przeciw Duchowieństwu, na więzienie i skazywanie bez sądów licznych kapłanów.

Przeczytawszy ten bolesny opis zmagań Kościoła cierpiącego w Polsce, wesprzyjmy modlitwami Hierarchię, Kapłanów, zakony i instytucje katolickie i Braci naszych w Kraju oraz prośmy Matkę Boga Człowieka o szczególną opiekę nad młodzieżą w Kraju, najbardziej narażoną na utratę wiary.

UMIŁOWANI BRACIA I SIOSTRY W CHRYSTUSIE PANU:

W okresie świąt Zmartwychwstania Pańskiego rozbrzmiewa Kościół Powszechny szczególną radością! Pogromcy śmierci, Ojcu Żywota, wyśpiewuje On swoje dziękczynne hymny: „Odkupił Baranek owce! Chrystus niewinny Ojcu grzeszników pozyskał! Śmierć i życie zwarły się w przedziwnym boju! Wódz żywota obumarły króluje żyw. (Sekwencja Wielkan.) Kościół Boży upaja się radosnym „Alleluja, Alleluja, Alleluja!" W świat płynie ożywczy nurt życia, łaska porywa serca, krzepi wolę, budzi ufność w każdej duszy! „Nie umrę ale będę opowiadał sprawy Pańskie". (Ps. 117. 17).

W pracy wielkopostnej dokonał Kościół ponownego omycia win strumieniami łask Męki Chrystusowej. I dziś raduję się z dzieła zwycięskiej walki swej z grzechem, boć raz jeszcze wypełnił wobec dzieci swoich Izajaszowe Proroctwo! „Oto ja obrócę na nie jakby rzekę pokoju i jakby strumień zalewający chwałę narodów, które ssać będziecie, przy piersiach was poniosą, a na kolanach będą się z wami pieścić. Jako gdy kogo matka pieści, tak ja was cieszyć będę, i w Jeruzalem pocieszeni będziecie". (Iz.66. 12-14).

Oto Kościół Boży w swym radosnym posłannictwie! Ileż pociechy zeń czerpiemy, my dzieci jego!

Ileż pokoju braterskiego nosimy w sercu, podczas, gdy tylu ludzi z bólem woła pośrodku nas: „Nie mamy Boga, brak nam Boga!"

Pełni Bożej radości i pokoju pragniemy tych darów ożywczych dla wszystkich ludzi. Stąd płynie potrzeba Kościoła, wyśpiewywana w Wielkanocnej prefacji: prawdziwie godną i sprawiedliwą, słuszną i zbawienną jest rzeczą tym chwalebniej przepowiadać Pana, „skoro na Paschę naszą ofiarowany został Chrystus —" (I Kor. 5.7).

Oddawna już zamierzaliśmy skorzystać z prawa Kościoła nauczającego, aby podzielić się z Wami, Umiłowani Bracia i Siostry naszymi wspólnymi radościami i troskami. Nadzieja, że uda się niejedną trudność pokonać i trosk Wam zaoszczędzić, wstrzymywała nas od tego, przez szereg miesięcy, pomimo narastających z dniem każdym problemów. Zwłoka nasza nie była bezpodstawna: **ufaliśmy bowiem miarodajnym zapewnieniom, ufaliśmy powadze zobowiązań, czynionych w ciągu długotrwałych rozmów.**

Gdy jednak położenie Kościoła świętego staje się coraz cięższe, a wypełnianie posłannictwa apostolskiego coraz to trudniejsze, gdy w dodatku wina za ten stan rzeczy składana jest wyłącznie na hierarchię kościelną, należy dać świadectwo Prawdzie.

Umiłowani Bracia i Siostry! Gdy dziś patrzymy na dzieje chrześcijaństwa w Polsce z wyżyny tysiąclecia rodzi się w nas uczucie dumy: „O jak piękne stopy opowiadających pokój, opowiadających dobro!" (Rzym. 10,15). Kościół stał się bowiem dla Narodu natchnieniem! Dzięki temu stworzył on owiane duchem Ewangelii dzieje których, pomimo ludzkich słabości, wstydzić się nie ma potrzeby. W zgodnej pracy z Narodem leczył Kościół przez wieki choroby duszy, rozświecał mroki umysłów, oczyszczał z trądu grzechu, uwrażliwiał na dobro, wlewał nowe życie w umarłych dla miłości.

Wielka ta praca wydaje i dziś swoje owoce w życiu całego Narodu, zarówno pod strzechą rodziny wieśniaczej, jak i pod dachem fabrycznym.

W pracy tej dokonało się ścisłe zespolenie Kościoła i Narodu! Tu znalazło ono swoje uzasadnienie i życiowe wyjaśnienie że nigdy nie powstało wśród nas zagadnienie rozdziału Kościoła i życia publicznego.

1. Kościół i państwo

Oddawna już uczył Kościół, za przykładem Chrystusa Pana, że dwie istnieją społeczności doskonałe, które wiodą ludzi do właściwych sobie celów życiowych. Państwo osiąga swój cel w dziedzinie spraw doczesnych, z pomocą środków ziemskich. Kościół natomiast prowadzi ludzi do celu ponadziemskiego. A chociaż musi korzystać, jako społeczność na ziemi działająca, z pomocy materialnej, to jednak głównymi środkami jego działania nie są siły polityczne, lecz nadprzyrodzone, moc Ducha świętego, sakramentów świętych i modlitwy.

Kościół nie może więc być uważany za potęgę polityczną, zwłaszcza w dzisiejszym pojęciu, jest bowiem w istocie swej potęgą nadprzyrodzoną Bożą.

Podziału terenu pracy i środków działania Kościoła i Państwa nie jest jednak rozdziałem. Obydwie bowiem społeczności schodzą się w człowieku, któremu obie służą. Obydwie mogą zgodnie prowadzić człowieka, do podwójnego jego celu — doczesnej, czy ostatecznej doskonałości. Właśnie ten dwojaki cel człowieka wymaga uzgodnionego działania, by nie tworzyć przykrego rozdwojenia w życiu ludzi, by nie przeciwstawiać w nich ludzkiego Bożemu. Na tej drodze i Kościół i Państwo mogą uzgodnić swe oddziaływanie wychowawcze, zarówno w rodzinie, jak w szkole, czy w życiu publicznym.

Od tysiąca blisko lat głosi Kościół święty w Polsce Dobrą Nowinę Chrystusową. Nauka jego jest powszechnie znana. Umiał bowiem Kościół mądrze połączyć sprawy ziemi i nieba, natury i łaski, celów doczesnych i ostatecznych. Dzięki boskości i ludzkości tej Bożej nauki Kościół zdobył sobie wielkie znaczenie w społeczeństwie. A wpływów swoich nigdy nie użył na szkodę Polski. Dotąd są one przez ogromną większość uznane i uszanowane.

Kościół ma swój prawem kanonicznym ustalony ustrój, oraz swoje zasady wychowania. I te zasady są powszechnie uznane tak, że naród nigdy nie odczuwał potrzeby bronić się przeciwko wychowywaniu Kościoła. Na tym życiowym zespoleniu polega historyczny konkordat Kościoła katolickiego z Narodem polskim.

Czy więc dziś istotnie najpilniejszą i najważniejszą dla Polski sprawą jest rozdzieranie tej dziejowej wspólnoty? Czyż nie jest raczej bardziej konieczne jednoczenie wszystkich sił do walki z nędzą wojenną, do pracy nad zgodną odbudową Ojczyzny? — Czy naprawdę wierzy ktoś w Polsce, w to, że Kościół jest groźną dla niej potęgą polityczną? — Czy po dokonanym przez wojnę spustoszeniu moralnym bardziej pomoże Ojczyźnie zeświecczenie, czy też uświęcenie ducha Narodu? — Co jest zdrowsze dla Polski: rozbicie jej na zwalczające się sekty, czy też wzmocnienie w Jednej wierze i łasce? — Czyż akcja na rzecz oddzielenia Narodu od Kościoła nie jest najgroźniejszym dla Narodu niebezpieczeństwem: —

Katolicy! Wybiła dziś wielka godzina sumienia chrześcijańskiego! Odpowiedźcie sobie sami na te pytania!

2. Duchowieństwo katolickie a społeczeństwo polskie

Ojcowskie uczucia nasze pragniemy zwrócić dziś i do pracowitego a wiernego Duchowieństwa katolickiego całej Polski! Raduje nas bowiem jego wiara, gorliwość apostolska, nierozerwalna wspólnota z Wami, a zwłaszcza cierpliwość i spokój, z jakim wytrzymuje tyle trudności zewsząd się piętrzących.

Nie potrzebujemy Wam, Bracia i Siostry, zalecać kapłanów! Znacie ich dobrze! Wszak duchowieństwo katolickie w Polsce to wszystko synowie naszej ziemi! Wszak wyrosło ono z twardej doli wsi, wśród warsztatów rzemieślniczych, z przedmieść robotniczych. Cóż więc dziwnego, że duchowieństwo to rozumie tak dobrze potrzeby ludu pracy, że jest wrażliwe na jego niedolę, że umie współczuć i zaradzać biedzie, że umiało nakłaniać możnych, by otwierali serca i kiesy dla ubogich.

Właśnie dlatego tak trudno dziś przekonać lud, że duchowiestwo to wrogowie ludu, gdyż przyzwyczaił się on od wieków widzieć wśród siebie kapłanów, w swej doli i niedoli.

W najcięższych latach niewoli lud ten czuł przy sobie jedynych niemal swoich obrońców i nauczycieli. Kapłani to polscy, budowali pierwsze szkółki, oni otwierali oczy i książki, zakładali biblioteki, szpitale, domy sierot, pierwsze spółki i kasy spółdzielcze. Pierwsi kapłani uczyli z ambon higieny. Oni to sprowadzili spracowany lud odświetnie ubrany przed ołtarze pańskie. Oni to pierwsi głosili ludowi naukę o wolności synów Bożych i o wysokim dostojeństwie każdego robotnika i oracza.

A czy dziś naprawdę istnieje rozdział między księdzem a ludem? Mamy dowody, że nigdy ten lud w ogromnej swej masie nie był bliższy kapłana, świątyni i ołtarza, jak dziś, Mówią nam o tym jego wierne oczy, jego rozmodlone wargi, pełne świątynie oblężone konfesjonały, wielki posłuch ku wszelkiemu dobru!

Trudno też przekonać kogokolwiek, że duchowieństwo Katolickie to obce siły, wrogie narodowi! Wszyscy bowiem dobrze wiedzą do czego zmierza duchowieństwo, bo wszyscy słuchają jego nauki, wszyscy patrzą na jego pracę.

Ucząc miłości ku Bogu, nie zapomniało duchowieństwo nasze o miłości ku Ojczyźnie! A pierwszą tak przedziwnie wiązało z drugą, że umiało — gdy zaszła potrzeba — krzyżem ukazywać jak się umiera za prawa ojczyste, a nawet stanąć na czele szeregów wygnańczych, krzepiąc wiarę w wyższą, Bożą sprawiedliwość. Za wielu kapłanów legło w tej ziemi dla Polski, byśmy mogli wątpić, czy serca ich kochają naród!

Zapytamy Was: Za co zginęli w obozach niemieckich: świątobliwy biskup Michał Kozal i sędziwy starzec Arcybiskup Nowowiejski i jego sufragan Biskup Wetmański, czy sufragan lubelski Biskup Góral?

Dlaczego oto tylu biskupów usunięto z ich stolic biskupich? Czemu to zginęło w ciągu lat wojny, z rąk wroga kilka tysięcy kapłanów? Zaprawdę! ten rzymski kler jest w równej mierze i katolicki i polski.

Nie potrzebujecie więc, Umiłowani Bracia Kapłani, określać swego stosunku do narodu, gdyż Wy tu nie od dziś, ani od wczora! Jak od wieków, tak i dziś wpajacie w naród poszanowanie prawa i ładu, nawołujcie do wypełnienie obowiązków moralnych. Dzięki Waszej niezmordowanej pracy oddajecie największą przysługę życiu publicznemu. Można o Was powiedzieć, że dobrze zasłużyliście się narodowi, że polskiego chleba darmo nie jecie!

Wobec napaści wrogów Krzyża zachowajcie spokój. Trwajcie godnie na stanowisku! Oddajcie się z zapałem przepowiadaniu Ewangelii: to przecież najlepsza i jedyna Wasza polityka! Wiecie, że nie jesteście powołani do pracy politycznej, ale do zbawienia dusz ludzkich! Praca Wasza jest ku pokojowi Ojczyzny, zarówno wtedy, gdy nocną porą wędrujecie do konających, gdy umacniacie lud w cierpliwości jak i wtedy, gdy bronicie Wiary świętej przed sekciarzami i bluźniercami, gdy stajecie w obronie krzyżów, zamykanych szkół katolickich, paciorka w przedszkolu!

Słusznie wierzycie, że Polska nie musi być bezbożna, by mogła być sprawiedliwa dla wszystkich! **Obrona wiary nie jest więc politykowaniem, tylko spełnianiem obowiązku powołania kapłańskiego.** Nigdy nie byliście tak dalekimi od spraw politycznych, jak dziś.

Boleśnie odczuwamy, wraz z Wami, że tylu kapłanów jest oderwanych od ołtarzy! niepokoją nas szeregi obwinionych i skazanych, którym nawet pomóc nie jesteśmy w stanie, nie mając możności poznania istoty tych oskarżeń, ani wysłuchawszy oskarżonych.

Wszystkich Was prosimy: Wytrwajcie w swym apostolskim posłannictwie, spokojnie, ufnie i z godnością!

3. Dobroczynna i społeczna praca Zakonów

Obok zastępów duchowieństwa świeckiego od dawna społeczeństwo polskie widziało przy sobie pokorne sługi różnych zakonów i zgromadzeń religijnych. Oto ci, co opuścili wszystko, wyrzekli się ojczynzy, i już przez sam ślub ubóstwa wzbogacili pozostałych członków rodzin.

A przecież zasługi ich nie tu się kończą! Przecież to zakony torowały drogę do cywilizacji. Na ich barkach przez tyle wieków spoczywał ciężar opieki społecznej. Pierwsze szpitale i schroniska dla wędrowców, starców, sierot powstały z pracy zakonów. One to stworzyły mnóstwo fundacyj, zastępowały nieistniejące ministerstwa zdrowia i opieki społecznej. Zakony to wyręczały Skarb Państwa, troszcząc się o to, jak wyżywić głodnych, przyodziać nagich, zdobyć leki dla chorych. W fundacje możnych tyle wiekowej włożyły pracy, ofiary, oszczędności, że są tu dziś, jak u siebie w domu.

Kościół, który dawał natchnienie tej błogosławionej pracy zakonów, wstydzić się jej nie ma potrzeby. I dziś, choć przybyło pracowników, choć ulepszono metody opieki społecznej, praca opiekuńcza zakonów ma tak doniosłe społeczne i religijne znaczenie, że trudno się jej wyrzec bez szkody dla najbiedniejszych.

Gdy więc wokół tej pracy tyle wywołuje się dziś niepokoju, gdy usuwa się zakonnice ze szpitali, niekiedy z ich własnych domostw gdy rozwiązuje się stowarzyszenia religijno-społeczne o charakterze zakonnym, Kościół ufa, że namiętności ucichną, a zwycięży sprawiedliwość i rozsądek.

Do Kościoła należy osądzać, czy te zgromadzenia, powołane przezeń do życia, odpowiadają wymogom pożytku społecznego, czy też są zbędne: Kościół bowiem powołał je do życia, w czasach niewoli, by służyły i dobru religinjemu i dobru społecznemu.

Do Kościoła należy rozstrząsać o ich istnieniu.

Pragniemy więc i Wam, Bracia i Siostry zakonne, dodać otuchy. Krzywdy cierpiane przyjmujcie spokojnie, gotowi do przebaczenia. „Nikomu złem za złe nie odpłacajcie i obmyślajcie, co dobre, nie tylko przed Bogiem ale też i przed wszystkimi ludźmi. Jeśli być może i o ile to od Was zależy, miejcie pokój ze wszystkimi ludźmi." (Rzym. 12, 17-19).

Trwajcie w swej błogosławionej pracy, niezrażeni niewdzięcznością, boć praca Wasza Boża jest, szlachetna i wielką oddaje pomoc cierpiącym.

Któż nie schyli czoła przed tą pracą, która nie odróżnia przyjaciół i wrogów, dnia i nocy, która nie pyta o pensję i o zapłatę, ale trwa na posterunku ku uldze cierpiących, ku podziwowi lekarzy, nie bez korzyści nawet dla gospodarki narodwej.

I wy więc, Bracia i Siostry zakonne, chleba polskiego darmo nie jecie, boć jest on rzetelnie przez Was zapracowany. Macie przyrodzone prawo do zachowywania własnych domostw, do zabezpieczenia w nich starości tylu zniszczonym pracą społeczną członkom swych zgromadzeń. Krzywdą byłoby dziś wyrzucać na bruk tych ludzi, którzy życie swe sterali na posłudze bliźnim. Gdy dziś uspołecznia się Wasze szpitale i lecznice, wiedźcie, że przez ofiarną pracę swoją już dawno żeście je sami uspołecznili.

Podnoście wśród siebie ducha zakonnej wspólnoty, ceńcie sobie pracę bezinteresowną, szanujcie swój habit zakonny, z którym się nie rozstawajcie, brońcie świętości klauzury zakonnej i nikt nie ma prawa jej przekraczać. Ceńcie sobie Waszą pracę, której w Polsce tak wiele, że długo jeszcze nie zabraknie jej i dla Was, i dla „Caritas" i dla opieki publicznej.

Wyrażamy nadzieję, że dla dobra społecznego będą uszanowane instytucje katolickie, Zgromadzenia zakonne, szpitale i domy starców, internaty katolickie i prawa ich właścicieli.

Pragniemy, by ludzie chorzy i opuszczeni nie byli pozbawieni błogosławionych owoców ducha religijnego, tej największej siły cierpiących i potężnego sprzymierzeńca służby zdrowia.

Dokończenie na str. 6

BEATA OBERTYŃSKA

STOROŻKA

JEŹDZILIŚMY tam tylko na lato. Na „świeże powietrze" jak lubiły mówić służące. Rok rocznie, odkąd siebie pamiętam.

Najpierw szły tłomoki z pościelą i kilimkami — cóż to była za radość kiedy w ostatnich dniach czerwca, taki jutowy słoń zaczynał pęcznieć w dziecinnym pokoju na stole! — potem jechała Babcia — a właścicielka tego „świeżego powietrza", z kucharką, pokojową i obydwoma psami — wreszcie my, pod opieką panny Emilii, Mama z Tatkiem przyjeżdżali zazwyczaj ostatni, wtedy, kiedy dom był już rozpakowany i puszczony w ruch.

Stacyjki — pamiętane po kolei, jak inwokacje Litanii Loretańskiej, tłukły nas kolejno po rozwianych od radości głowach, których oczywiście i wbrew zakazowi, pełno było w otwartych oknach.

Pamiętam specyficzny smak zimnych kotletów i jaj na twardo — smak podpłynięty wyraźnie zapachem węglowego czadu z lokomotywy (wiadomo przecie, że na widok pociągu wszelkie jedzenie zmienia smak!)—było mleko we flaszce, cynowy kubek od termofora i sól w papierku — przedewszystkim jednak było szczęście!

Pędzący za oknami świat, już od połowy drogi zaczynał coraz wyraźniej garbić się, błękitnieć, zachodzić na siebie pasmami wzgórz, o cudownej modrzystości szadzią pokrytej śliwki — no a potem — witana nieodmiennie naszym piskiem — brała się tuż obok toru, kochana, swojska, rodzona rzeka, płynąca tu płytko po olbrzymich, brodatych od mchu kamieniach. Mimo łoskotu pociągu i echa w leśnym jarze, słyszało się jej szklanny bełkot i szła od tej wody jakaś świeżość cienista, mszysta, leśna, niezapomniana...

Raz jeden w roku — wtedy właśnie — nie wysiadało się w Dębinie, tylko ze względu na ilość tłomoków, kuferków i dzieci, jechało się aż do Skolego. Tam można było wynająć fiakry i wózek pod rzeczy, czego w Dębinie — małym, lipami pachnącym, ostatnim przed Skolem przystanku — nie znalazł nikt na lekarstwo. Osobnym radosnym dodatkiem było nam zatem to jeszcze, że przed samym dojazdem musieliśmy mijać nasz ogród i dom.

Posiadłość ta puszyła się drzewami pod wysokim urwiskiem, opadającym stromo w jar, którego dnem wiła się smuga bitego gościńca i którą — prosto jak strzelił — przecina kręgosłup kolejowego nasypu. Tym to nasypem właśnie przelecieć miał za chwilę nasz pociąg.

Już od zakrętu ciasno jest w oknach od naszego radosnego podniecenia. Wszyscy mamy chustki w ręce. Może ktoś będzie na szkarpie. A zresztą choćby nie było nikogo, i tak będziemy machać! Pięć białych skrzydeł wybuchnie z ciemnego boku pociągu, by powitać i ten kąt ukochany i te góry i tę wodę i to jedyne na świecie powietrze i to nienazwane, nieuświadomione a musujące w nas czekanie, którego mamy oto pełne uszy, pełne oczy, pełne serce!

Już skończył się las „na Kłódce" i zaczął się kamieniołom. Głęboko w brzuch góry wryta wyrwa, pełna prostopadłych płaszczyzn wygrzebanego już z gliny, złotawego kamienia, — wyrwa, pocięta na piętra i poziomy, mrowiące się sennie szeregami małych — do mrówek stąd podobnych — wózków. A zaraz za tą raną w krajobrazie — równo, jak nożem uciął — zielony, spieniony drzewami czworobok ciszy i bezpieczeństwa nasz ogród! Od rogu: sosny i modrzewie, potem wał krzaków na skraju nasypu, brzózki, ławka, i — dom!

Na szkarpie, machając ku nam fartuchem czy ścierką, stoi nasza nowa, tuż przed wyjazdem przyjęta kucharka.

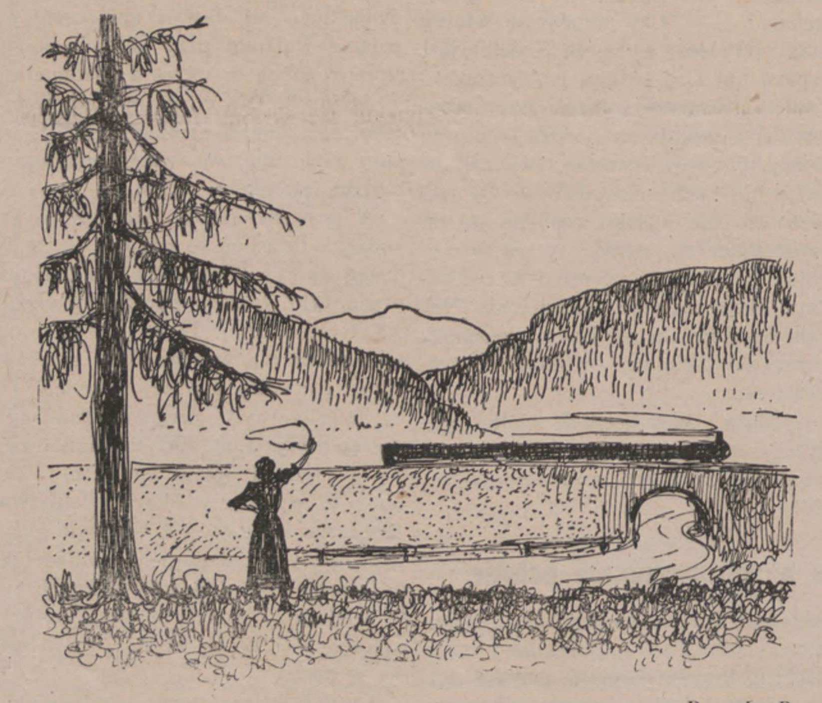
Nazywało się to Storożka.

Wyciekało z lasu pochyłymi spłachciami łąki i zatrzymywało się dopiero na szkarpie. Od lasu i kamieniołomu odgradzała ją wysoka, cynkowana siatka podobna w kolorze do zaroszonej pajęczyny — ale właściwą granicą ogrodu stały się z czasem drzewa, odrzynające się kwaśną zielenią liści, od granatowych puszystości gminnych świerków.

Kiedyśmy przyjeżdżali na lato, trawa na tych pochyłościach była już wyraźnie przekwitła i stwardniała, ale zato pełna niskich rozprysków polnych dzwonków, złotych oczu rumianów i strzępków różowej firletki. Gdzie nie gdzie rozpychał się pulchny, wysoki kopiec mrowiska, cały w mięsistym kożuchu macierzanki.

Późne, czekające na nas sianokosy, były osobnem świętem naszego dzieciństwa. Dopełniał ich zazwyczaj zgrzebny, z gościńca najęty chłop z własną kosą i własną osełką. Chłop taki miał jeszcze własne, gliniane dwojaki, z których jadał potem „południe", w cieniu olch nad strumykiem, wysączającym się z lasu i bełkocącym przez sam środek naszego ogrodu.

Spadzista łąka kończyła się wąskim, poprzecznie do stoku ciągnącym się pasem ciemno zielonego kar-



Rys. L. P.

tofliska, — niżej, po prawej stały jednym dachem nakryte stajnia i drewutnia, po lewej zaś było coś, coby nazwać można szumnie warzywnym ogrodem, wreszcie — za wałem agrestów i porzeczek wrżynał się w zbocze wysoki szkarp, podmurowany bochnami rzecznych, tu i tam mrowiskiem rozsadzonych, kamieni. Na przymurku tym urywała się wreszcie płynna pochyłość terenu, robiąca teraz miejsce płaszczyźnie na której stał już dom.

Dom — to było długie, prostokątne pudło, nakryte gontowym dachem. Miało dwa kominy, dwie kadzie i jedną drabinę. Od południa na całą jego długość, ciągnęła się pod okap dachu cofnięta weranda, której jedna strona — zacieniona z bliska „dziadziowym dębem" — należała w zasadzie do starszych — druga, ta od „kamiennej gruszki" do dzieci.

Zewnątrz cały dom był obłożony deskami. Te od południa i wschodu, zapuszczone widocznie pokostem u początku swoich dni, zbrązowiały latami na cudownie złoty, matowy kolor — tamte zaś od zachodu i północy, powlokła z czasem patyna platynowa, o powściągliwym, smutnym połysku popielatego atłasu. I jedna i druga strona domu, miała w słońcu całkiem inny zapach.

Wogóle całkiem inny zapach od innych domów miała Storożka i wewnątrz. Nie umiem tego rozebrać na poszczególne składniki. Zdaje mi się jednak, że był to przedewszystkim zapach przewianego wiatrem drzewa i wapna, nakładzionego tu na glinianą polepę, suto i zawiesiście. Z wyjątkiem bowiem dwóch stryszkowych pokoików, cały dom był wewnątrz bielony. Soczyste smugi szczotki, chmury i wiry błękitnej, źle roztartej farbki widne były — zwłaszcza na początku wakacji — wyraźnie na ścianach i sufitach. Potem pełzły, albo się do nich tak nawykało, że się je przestawało widzieć.

Podłogi, o świeżo na nasz przyjazd wyszorowanych deskach, jaśniały jak masło, tam zwłaszcza gdzie leżało na nich słońce.

A słońce chodziło sobie po tym domu, jak samo chciało! Okna były bardzo niskie i bardzo szerokie. Miały potrójny rząd szyb z których tylko dwa boczne były do otwierania. Między tymi środkowymi szybami trwał zapach, który poznałabym na drugim końcu świata — zapach nagrzany, duszny, drzewny... Trochę pokost, trochę żywica, ale przede wszystkim to „coś", co pachnie w domach niezamieszkałych i przez zimę pustych. Pod koniec sierpnia leżały tam — pracowicie przez nas naniesione — szyszki, suche łuski zrzucanych przez żmije skór, widłak i mięsiste „huby" odłupane z buków pod Horbaniem. Na przyjazd nasz jednak, czekał między szybami tylko ów smutny zapach samotności i złapanego między szyby czasu, który stał tam od wiosny i wiedział wiele o prącym z gór wiosennym wichrze i odwilżach.

A czasem leżały tam jeszcze na boku uschłe, na pół zemknięte ćmy, cieliste i miałkie, jak tabaka, która się sypie z toczonych po cichu, zbyt długo na ludzi czekających mebli.

Przed samą werandą garbiły się trzy pstrokate od byle jakiej kwitnącej łatwizny grządki — maruna, ostróżki, trochę nagietków, kilka wiech błękitnych „pantofelków Matki Boskiej" i dwa krzaki późnych, pomponikowych georginii. Grządki były wysoko obłożone darnią, pełną sypkiego niepokoju czerwonych mrówek.

Bliżej szkarpu, rosły po lewej stare, zawiesiste modrzewie, po prawej zaś trzy wielkie brzozy, całe w nieustannym poszepcie i migocie liści — no, a potem było już tylko urwisko, spadziste, kamieniste, walące się z pieca na łeb ku gościńcowi w dole.

A za tym gościńcem za garbem kolejowego nasypu — odgrodzona od niego rażąco białą kupą szutrowiska i zaciekami gęsich pastwisk— płynęła rzeka! Rzeka zielona sama w sobie i zielona odbiciem świerkowego lasu, który spełzał skosem nad tamten jej brzeg, jak płaz do wodopoju. To też i las i owa szczelnie z nim zamknięta dolna szczęka jego odbicia w rzece, były mi całe dzieciństwo zjawą przedpotopowego jaszczura, o kostropatym, ciemno świerkowym łbie i zielonawym podgardlu który pił i pił migotliwą, gadającą wodę — dla nabrania tchu nawet nie odrywając od niej paszczy. Chyba...może czasem w nocy, gdy nikt nie widział — do księżyca...

Senny, nieprzerwany szum płynącej wody — szum zdwojony cienistym półgłosem leśnej pustki tamtego brzegu — wyścielał nam każdą chwilę, każdy dzień i każdą noc, tak jak je wyściełało to tęgie, żywicą przepojone powietrze. Był jak płynące struny, na których grało szczęście... Był jak — ach! Boże! — mniejsza z tym... To się i tak nie da opowiedzieć! Tego tylko na szczęście nie rozumiałam jeszcze wtedy, że szum ów był równocześnie szelestem przelewającego się czasu, z którym powoli, niespostrzeżenie, ale nieodwołalnie — odpływała odemnie cała beztroska, całe bezpieczeństwo, cała za gardło dławiąca cudowność tamtych lat...

Dopiero dziś — kiedy spłynęła — kiedy podziała się bez ratunku i na zawsze — wiem że z tą zieloną, migotliwą wodą — już wtedy — odchodziło też powoli odemnie moje własne, jedyne życie...

Pokoi w całym domu było tylko sześć. Dwa na piąterku, drugie dwa na dole, jadalnia i jeden dziecinny. Prócz tego była duża, narożna kuchnia i rozległa sień, skąd wiodły drzwi do piwnicy i drzwi ku schodom na górkę.

Do sieni wchodziło się rozsiadłymi szeroko drzwiami, które tylko na noc i w ulewy bywały zamykane. Zwykle stały otworem, skrzydłami w sień. W cieniu prawego srzydła sypiał zazwyczaj Asan — za lewym kryła się zawsze mokra ławka a na niej szeregiem wiadra z naniesioną dla kuchni wodą.

Woda do picia stała osobno, w miedzianym, pradawnym jakimś gąsiorze. Dzbańczyk ów, jakoże pełen zawsze lodowatej wody ze źródełka, miewał boki zapotniałe na matowo, tak, że można było pysznie pisać na nim palcem. Nisko, z jednego boku wyrastał mu dziób, podobny kształtem do fajki fajecznika, skąd — za najlżejszym nawet nachyleniem, cudownie mroźna woda rzucała się łukiem grubym i przejrzystym, jak sopel. Żadna woda na świecie nie była już potem, taka!

Do stajni i drewutni wiódł, skosem w dookolną trawę wgnieciony chodniczek, z szarych, kamiennych płyt. Znało się je na pamięć. Biegnąc wiedziało się na ślepo, na której z nich będzie bosej pięcie najwygodniej. Jedne się lubiło, innych nie. Nie wiem czemu, skoro wszystkie były nam jednakowo życzliwe? Drobniutka, jak na żart koniczyna, wyścielała szpary między kamieniami. Jedna z płyt była ochełtana. Po deszczu ciepłe błoto umiało strzyknąć znienacka po rozpędzonych łydkach, — w posuchę każdy bieg ku stajni musiał kałatnąć głuchym odgłosem przeważanego na jeden bok kamienia.

Z zawsze otwartych wrót drewutni, chuchał zapach świeżych tryn, rąbanego drzewa i schnących po ciemku starych gontów. Było tam ciepło i słodkawo, jak w dziupli. Pulchną jej głąb przerzynały poprzecznie trzy szerokie szpary na dwór, szpary pełne o zachodzie rozpluskanego liśćmi słońca. Szły sobie te plamy i wracały — wracały i szły, jak wielkie, złote półnuty, — na trzech tych strunach sennie wygrywanej melodji...

A potem była stajnia. Stajnia i wozownia równocześnie.

Z brzegu za zawsze zawartą połową wrót, krył się nasz żółty powozik — w głębi, u żłobu stały w powietrzu dwie metalicznie szafirowe źrenice Ciosia. Cioś zawsze zwracał głowę, gdy słyszał zbliżające się po chodniczku kroki. I dlatego, nim się wzrok oswoił z mrokiem stajni, widziało się tylko to tajemniczo świetliste, życzliwe końskie spojrzenie.

Cioś patrzył zresztą jak żaden koń ani przedtem ani potem. Może też być że konie inaczej patrzą na dzieci a inaczej na dorosłych. W wypukłej gałce jego łagodnego oka jak w szklannej, zaczarowanej kuli, widziałam swoje śmiesznie pomiejszone odbicie, o małej twarzy i ogromnym nosie. Lubiłam, że wszystko odbite w tem oku jest tak przeraźliwie wyraźne a równocześnie tak zupełnie inne niż naprawdę. Ścierpnięte jakby, wilgotne i niesamowicie dalekie.

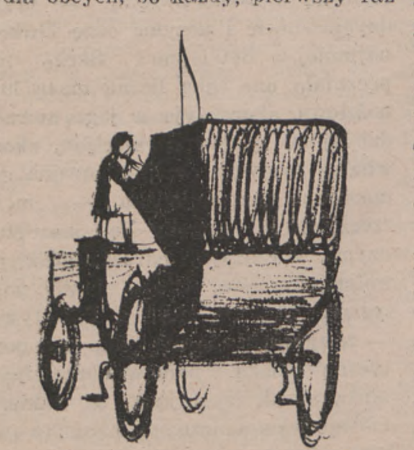
W te dalekości końskiego oka patrzyliśmy z bliska najczęściej po podwieczorku. Bo zwykle po podwieczorku niosło się Ciosiowi skrzętnie ze stołu zebrane uółksiężyce kawonowych łup. Żuł je soczyście, rozrabiając w pysku na zieloną, głuchą pianę, którą razem z zaślinionymi kawałkami gubił potem po ziemi. Nad oczyma ruszały mu się aksamitną sierścią wyścielone dołki. Nie wiem czemu zdawało mi się zawsze, że tam właśnie jest życie konia. Życie, które się rusza które widać, i którego możnaby się dotknąć palcem...

Żłób był wewnątrz gładki i wypolerowany końską wargą do połysku. Pierwsze ziarna wsypywanego przez Hrynia owsa, rozpryskiwały się na dnie, jak wesoła, złota woda. Następnie syczały już zwarcie i jednolicie, dymiąc mącznym kurzem, który tylko nos wyłapywał z powietrza. Cioś powoli wstawiał głowę w żłób i wtedy zaczynało się to usypiające, syte chrupanie, przerywane czasem brzękiem trącego o deskę łańcucha. Suchy zamsz wargi suwał się po dnie żłobu, zgarniał ziarna — i te oddechem na boki rozdmuchiwane i tamte — w grudki pozlepiane już śliną — i pracowicie zmiatał je w rozchrobotany żuciem pysk. Robiło się wtedy jakoś cudownie bezpiecznie, syto i sennie. Mrok stajni, ostry odór końskiego nawozu i woń zawalonego młodym sianem strychu mieszały się tu z żywicą nagrzanych desek i słodkawym zapachem rzemieni i skóry. Obie uprzęże — ta „lepsza" i ta „gorsza" — wisiały w głębi na ścianie i buda powoziku była postawiona. Pod światło, czarny jej okap wyglądał w dodatku jak wejście do zaczarowanej pieczary... Wszystko to było głębinnie uszczęśliwiające i tak niepojęcie — własne!

Potem Hryń dźwigał z ziemi i opierał na zgiętym kolanie putnię pełną wody ze źródełka. Cioś przytykał matowym uśmiechem stulone wargi do jej szklistej powierzchni — i stawał się nagle uosobieniem powściągliwości i ciszy. Widziałam wtedy dokładnie jego lśniące, spokojne rzęsy. Były jak sitowie nad granatowym jeziorkiem—osobne i każda w inną stronę.

Z zewnątrz, do szarego jak osie gniazdo boku stajni, tuliła się pokornie dość intymna zresztą ubikacja, pełna przewiewu, pogody i słońca.

Wewnątrz oprócz pochyłego sufitu cztery jej ściany z drzwiami włącznie, zaklejone były gęsto pstrokacizną wystrzyżonych z czasopism, kolorowych ilustracji. Jakieś stare, niemieckie „Jugend“ czy „Fliegende Blätter“ zostały tu zużytkowane ku podniesieniu ogólnego nastroju. Panie na tych obrazkach miały jeszcze wysokie bufiaste rękawy, bufy pod czołem i ciasne kołnierzyki z kokardą na karku. Były w pasie cienkie jak osy i nosiły płytkie, szpiczaste trzewiki. Szkaradna moda osiemdziesiątych lat, z całym swym w brykle i fiszbiny wbitym brakiem prostoty i smaku patrzyła na przybysza poprzez białe muchy woalek, spod twardych, słomkowych, na nos zsuniętych kapeluszyków. Kolorowy rwetes, różnorodności tematów i czarująca zresztą „myszka“ owych papierowych krążków, miały widocznie swój urok i dla obcych, bo każdy, pierwszy raz



Rys. L. P.

na Storożkę przybyły gość, niknął w naszej pinakotece na niedwuznacznie i nadprogramowo długo...

O niski daszek tego ustronia ocierały się sennie gałęzie młodych jaworów i słychać było głuche dudnienie przestępujących w słomie kopyt Ciosia. Cudowna była świadomość gorącego końskiego życia, zatajonego tuż obok za deskami. I nigdy, wieczorem nawet, nie było tu dlatego straszno. Chrzęst kantara i senne chrupanie siana były po jakiemuś opiekuńcze i nad wyraz wszelki swojskie...

Bardzo też swojsko bełkotał za stajnią strumyk. Zależnie od suchego lub mokrego lata, potoczek ten albo przybierał, albo się kurczył. U stóp młodych jaworów miał sztucznie rozszerzone brzegi i głęboki wkop, skąd brało się wodę do mycia powozika czy wózka.

Wkop ten miał swoją ponurą historię. Przed wielu laty utopił się w niej synek stróża — matołkowaty Pieter Kogutko. Zwalił się zawielką głową w wodę i udusił w mule. Dziś na dnie wkopu mokły grubą warstwą zeszłoroczne liście — zagładzone już mułem do niepoznania — i mazał się przez nieruchawą wodę ruchliwy cień tamtych, żywych jeszcze na jaworze. Obco tu było i nieprzyjemnie. Jakaś nieprzychylność taiła się w powietrzu. Może wspomnienie tej dziecinnej śmierci, może pobliże tyłu stajni, z dymiącą pod słońce kupą nawozu, może smutek zamulonych na dnie liści, a może właśnie świadomość, że tamte, szeleszczące jeszcze na jaworze utopią się kiedyś jak Pieter w cienistej kałabani za stajnią...

Dziecinny nasz pokój był duży i przeraźliwie jasny. Jedno z dwóch okien wychodziło na wschód.

Budziłam się jak w słoiku z mlekiem. Rozprysk słońca na podłodze oślepiał. Przez otwarte okno lał się do pokoju ranny, poziomkami pachnący chłód.

Mieliśmy w siennikach świeże siano — nie słomę. I poduszki były płaściutkie i z włosia. Twarde i zawsze chłodne. Mój purpurowy, czarny meandrem rozpełzany kocyk, podszyty był też chłodnym prześcieradłem. I było rano. I było w domu. W sienniku pachniała macierzanka, a przez okno poziomki i mech.

Myliśmy się w śliskiej dębowej, kadzią tchnącej, deszczówce. Umywalnia stała blisko okna i zwykle o tej porze padało na nią słońce. Woda w białej miednicy robiła wrażenie złotawej. A może była złotawa? Woda z kadzi jest zresztą zawsze taka. Blask rozpryskiwał się razem z wodą dookoła nas, a było go wszędzie tyle, że widziałam całkiem dokładnie lekko zardzewiałe dno wązkiego dzbanka, w którym w innej porze dnia bywoło głęboko i ciemno.

Mydło — wiadomo — bardzo trudno zmywa deszczówka. Łagodna woda jest wobec piany tak samo prawie bezradna, jak panna Emilja bezradna była wobec nas. Wymykaliśmy się jej, jak mydło. Śliskie jeszcze ręce wycierało się odczepnego i bądź jak, a mokry ręcznik przewieszało zaraz przez okno — okno o dobrze już ciepłych deskach i haczykach.

...Jakież ta „kamienna gruszka“ ma pod światło ciemne liście! Tu i tam tkwi w nich kolczato blask słońca. Jest rano. Jest pogoda. W kuźni za ogrodem dźwięczy kowadło.
Jest ósma rano...

W jadalni pachnie herbatą i bułkami. Na stoliku, koło bielonego pieca, fuczy dostojnie samowar.

Pokój to wązki, niebieski od rannego cienia, bez okna, o rozwartych tylko na oścież, szklannych drzwiach na werandę.

Z mojego miejsca przy stole widzę tylko plan pierwszy i ostatni. Pierwszym—są wycięte w znajome lalusie balaski werandy i ukośne powtórzenie ich cieni na deskach — ostatnim — dno niebieskiej doliny, dno szafirowe od lasu i rozlicznych dalekości schodzących łagodnymi łukami ku rzece.

W jadalni pachną bułki i herbata. Obrus jest różowy i ma frendzle. W dwóch chińskich, głębokich czarkach złoci się wodą zalane masło. Ma po sobie ozdobne karby i półksiężyce—ostatnie widocznie dotknięcia drewnianej łyżki, którą się je ugniatało. Jest twarde, bo stało przez noc w piwnicy.

A bułki są ciepłe. Niedawno przyniósł je piekarz z miasteczka. Chrupkie, dęte bułki z czarnuszką i okrągłe gąbczaste „kaizerki“. Są i rogaliki. Z solą albo z makiem. Mam przed sobą duży garnuszek. Każde z nas zresztą ma swój garnuszek z obrazkiem. Herbata jest z mlekiem i słodka. Mocna, pachnąca, ale z mlekiem. Kiedy na rogaliku rozsmarowuję masło, białe kropelki wody wyciskają się rosą z pod noża. Rogalik jest ciepły, a masło zimne. I herbata jest bardzo słodka. Im niżej, tym słodsza...
—Jest tak rano że niema jeszcze much.

Mam przed sobą cały nowy, nieznajomy dzień.

I całe nieznajome życie...

Trudno byłoby mi powiedzieć dziś uczciwie, czym zapełnialiśmy sobie te wszystkie, dziś w przeszłość już odpłynięte dni. Jedno jest pewne: były zawsze czemś zapełnione, od samego rana, po same granatowe, gwiaździste brzegi każdej nocy.

Oczywiście, wiele zależało od pogody. Jeśli przyszła długa, górska słota, szczęśliwość nasza musiała zmieścić się na werandzie, przybrać jej prostokątny, dachem zaciemniony kształt i odgrodzić od mokrego ogrodu napuchłymi balaskami. Wszystko tu zresztą było wtedy obrzękłe i lepkie, jak czapa prawdziwka. Oba sznury huśtawki stawały się przez noc krótsze i gruzłowate. Trudno się było wsunąć na zawysoką teraz i też wilgotną jej ławeczkę. Ale to nic. Tyle było innych cudownych rzeczy do zrobienia! I były wakacje, niczego od nas nikt nie chciał i niczego nam nie kazał. Chyba naciągnąć serdak czy sweter, a to było jeszcze do wytrzymania.

W deszcz — świat przed werandą z szerokiego robił się ciasny i cały wyścielony watą. Zostawały właściwie tylko najbliższe krzaki, bo już brzozy na szkarpie czy modrzewie nad ławeczką rozpływały się w pleśni białawego oparu.

Mgłą zadławione góry podziewały się wtedy bez śladu. Czasem tylko, pod nawisem lotnej, wędrującej białości albo w jej nagłych rozstępach, pojawiły się ich pociemniałe podnóża, zjeżone sierścią mokrych lasów. Między żelazistym żwirem brzegów szła rzeka suta i bura jak żur. Wszystkie kolory spłukał ze świata ten od tygodnia drobno siejący kapuśniaczek. Została tylko jaskrawa biel gęsi nad rzeką. Czasem odrywał się od dalekości ich gromadny, skrzypliwy gęgor i niósł wigotnem powietrzem deszczowo i bezdomnie.

Za ogrodem brzękliwie kałatały krowy. A w rynnie syczał deszcz. Nie dzwonił, tylko syczał. Jakby się nią smutno sypał w dół drobniutko przesiany piaseczek. Rynwa głęboko załamana pod okap, zatem sucha z zewnątrz — aż się prosiła sama, żeby do niej przyłożyć ucho! I to było cudowne! Mieć płynącą wodę tuż przy policzku, wyczuwać skórą jej pośpiech, wagę i konsystencję, słyszeć ów chyży szelest tak blisko, jakby się dział w głębi przymkniętych, zasłuchanych oczu — i nic! Cudowna była bezkarność tego zabiegu. Bo najwyżej miało się potem sprawę, o zasmolony niewiadomo czem policzek. Któżby się tam przyznawał, że to od słuchania słoty w rynwie?

W głębi domu nie słyszało się tej słoty wcale. Mógł sobie padać nie wiem jak ulewny deszcz — w pokojach na dole było cicho i tylko trochę mroczniej. Zato — kiedy się tylko uchyliło drzwi wiodące na górkę — rzucał się na człowieka zaśpieszony, rozbębniony szum. Bo nad schodami był zaraz strych, a nad strychem te łagodne spadziste kostropate pióra gontów, w które walił teraz, szumiał i tłukł, wesoło rozpędzony deszcz.

Schody były płytkie i strome jak drabina. Wspinając się do góry — dzięki przepaścistej, belkami pokreślonej głębi nad sobą — miało się wrażenie, że szczyt ich jest ciągle bardzo daleko jeszcze.

Prócz czterech bocznych kieszeni, kryjących się za wbudowanymi w strych pokoikami—nie było tu wcale ciemno. Szeroko w dachu wycięty i oszklony wyzior patrzył sobie z wy-



Rys. L. P.

soka w lśniący teraz deszczem warzywny ogródek, na łąkę nad kartofliskiem i na zmętniały w mgle las. Strych był więc właściwie jeszcze jednym pokojem i często w deszcz przychodziliśmy się tu bawić. Tyle, że bębniło tu wtedy tak, że trudno się było dogadać.

Beata Obertyńska

Dokończenie nastąpi

JADWIGA JURKSZUS

TOLA KORIAN

SZKOŁA dramatyczna w Lipsku. I „Altes Theater“. Dalekie, przymglone chwilami, ktore przyszły potem. Jakby niebyłe, a tak ważne przecież. Kto wie, czy w innych warunkach Tola Korian byłaby dziś taką właśnie — nie tylko diseuse'ą, ale i artystką sceniczną dużej miary.

Kilka elementów zaważyć musiało na rozwoju artystki. Studia dramatyczne. Dziedziczność, przed którą nie ma ucieczki — Tola Korian jest córką primadonny opery lipskiej. (M. Janowskiej; ojciec jej był również śpiewakiem i aktorem).

Nie tylko to. Najwięcej chyba zaważyła własna kultura artystyczna, świadomość swych możliwości, poszukiwanie dróg nieutartych, nowych i samodzielnych. Dlatego też, wybrawszy już swoją drogę, Tola Korian unika konsekwentnie zetknięcia w mistrzynią „piosenki mówionej“, aż do chwili, gdy jest pewna, że posiada swój własny styl, że usłyszawszy Yvette Guilbert może się wiele nauczyć, ale nie będzie jej naśladować, nie ulegnie wpływowi, nie zatraci siebie. Piosenka „mowiona“ — bo interpretacja a nie siła głosu jest ważna i dlatego, że jest ona opowieścią. Historią, czy sylewtką. W przeciwieństwie do Yvette Guilbert, Tola Korian kładzie wielki nacisk na stronę muzyczną; w repertuarze jej przeto znajdujemy Chopina, Debussy'ego, Szymanowskiego, Ravela i wielu innych. Dziś zresztą śpiewa również rzeczy Yvette Guilbert, przed którymi tak długo się broniła.

Sztuka reprezentowana przez Tolę Korian jest zupełnie specjalną i osobną pozycją w tym dziale na pograniczu muzyki — słowa — poezji — dramatu. Gdy się mówi: „piosenka lekka“ myli się: miłość, rozstanie, rozpacz, łzy; jeśli przełożyć na język przedwojennych szlagierów polskich — „Jesienne róże“, „Powiedz czy wrócisz“ itp. Na słowo „piosenka ludowa“ reaguje się na ogół wzruszeniem ramion i westchnieniem: „cóż za nuda!“.

W repertuarze Toli Korian nie ma ani przebojów, ani romansów cygańskich, ani piosenek, wyciskających łzy z oczu sentymentalnych panienek, ani nudy. Dobór rzeczy śpiewanych (przeszło 400 pozycji już dziś nagromadzonych i opracowanych) odbywa się pod różnymi kątami: wartość literacka, dramatyczna, humorystyczna, obyczajowa, muzyczna, moment narracji. Każda z piosenek jest jakby śpiewaną nowelą, każdą dałoby się przełożyć na opowiadanie z ekspozycją, punktem szczytowym i rozwiązaniem. To jeden z powodów, który sprawia, że nie można się nudzić.

Element naracyjny w piosenkach pozwala dzielić program na części: legendy, opowiadania część poświęcona kobiecie, inne — małżeństwu itp.

Jedne piosenki (lub cykle) odznaczają się dużym napięciem dramatycznym (przejmujące „Les Cloches de Nantes“ XVII w., „La chanson de Kean Renaud“ XV w., „Sinner Man“), inne są pełne humoru („Mariez-moi ma mère, „Zaloty“).

Jeden cykl jest zupełnie specjalny i wypełnia cały wieczór poświęcony kolendom różnych dziewięciu narodów; jest to historia — opowieść o Bożym Narodzeniu i Jego kolejnych fazach: od francuskiej legendy z w. XV „Le mariage de Marie“, poprzez przepiękną podróż do Beethleem (XIV w. Francja), kołysanki, pienia anielskie, śpiewy ptasząt, piosenki pasterskie i pieśni kolędników. To nie tylko pieśni o Bożym Narodzeniu — to odczucie cudu wyrażone w pieśni krajów całego świata.

Cykl ten powstał pod wpływem koncertów kolęd w londyńskim Albert Hallu. Obecnie Tola Korian zbiera dalej kolędy różnych narodów i ludów, powiększając stale, tak jak i w innych działach, swój repertuar. Oczywiście koncerty tego typu są ograniczone czasem i odbywać się muszą w okresie świątecznym; dawała je Tola Korian w Anglii, ostatni odbył się w Belgii w styczniu b.r. w Klubie Przyjaciół Polskiego Instytutu Naukowego.

W interpretacji Toli Korian współdziała szereg czynników: głos o bardzo zmiennym timbrze: inny jest w piosenkach dramatycznych, inny, gdy bohaterkami są młodziutkie dziewczęta, inny, gdy zabierają głos stateczne matki; gest nieprzesadny, bez scenicznej maniery; niezrównana mimika twarzy.

Wiele z piosenek jest opartych na przeciwstawieniu dwu osób biorących udział w akcji. Przypomnijmy chociażby „Mariez-moi ma mère“, piosenkę francuską z XVIII w.—rozmowę młodziutkiej dziewczyny rwącej się do małżeństwa, czy polskie „Zaloty“ (XVIII w.) — buńczuczny szlachcic wymykający się w porę z sideł przemądrzałej pani. Każda z postaci żyje, jest potraktowana indywidualnie.

Ogromną rolę odgrywa tu strona sceniczna: Tola Korian nie tylko śpiewa, ale i gra, odtwarza swoje postaci i ich nastroje. Rozpiętość jej możliwości jest wielka. Poprzez jej interpretację widzimy i odczuwamy zmęczenie Marii Panny drogą i poszukiwaniem schronienia („Podróż do Bethleem“), rozpacz grzesznika („Sinner Man“), triumfującą nienawiść („Tu ne la voirros plus, petit bossu“), zawiedzione marzenia („Ideały“), dziewczęcą naiwność („No, sir...“). Jedne akcenty są wstrząsające przez swój dramatyzm, inne wywołują śmiech.

Nie sposób nie wspomnieć o uśmiechu Toli Korian; to nie „przyklejony“ i zawodowy skurcz ust, to uśmiech radosny, związany z odtwarzaną piosenką, płynący z odczucia jej humoru i niezmiernie zaraźliwy.

Z podsłuchanych na koncertach rozmów wynika, że dzięki tym wszystkim czynnikom, publiczność odnosi wrażenie, że rozumie nawet piosenki w obcych językach... Oczywiście nie bez znaczenia jest krótki komentarz artystki.

Ciekawe jest, że nawet słysząc parokrotnie tę samą piosenkę za każdym razem odkrywa się coś nowego, ma się wrażenie, że została ona oddana inaczej, nie odczuwa się zmechanizowania.

Nie ma maniery. Jest natomiast ciągła praca, ustawiczne pogłębianie. Każda piosenka jest przedmiotem wielu prób. A jednocześnie poszukiwania. Bo Tola Korian nigdy nie uzna swego repertuaru za definitywnie zamknięty. Każde nowe miasto — to biblioteki, archiwa, antykwarnie, to piosenki, muzyka i poezja nowego kraju. Również i liczba opanowanych języków wciąż się powiększa. Dziś artystka śpiewa w ośmiu językach (i kilku dialektach), ale studia nad flamandzkim są już zaczęte; po nim przyjdzie pewnie kolej na języki skandynawskie.

Nie zaniedbuje też Tola Korian muzyki i poezji współczesnej, choć nacisk położony jest na rzeczy dawne. Przeciętny słuchacz odkrywa rzeczy dobrze znane badaczowi: wdzięk, czar, a nieraz i aktualność tekstu z XIV czy XV wieku. Czasem są to piosenki zapomniane na własnej ziemi: zachowały się w nowej ojczyźnie — angielskie w Stanach Zjednoczonych, francuskie w Kanadzie.

Przed wojną Tola Korian występowała we Francji, w Anglii, w Niemczech, Rosji i Grecji. Potem przyszły różne koleje losu. Była i wojenna praca w PAT'cie (Paryż 1939, znajomość języków nie tylko sceniczna!) i w prasie polskiej (Anglia). Potym znów występy w Anglii — dla wojska, a po wojnie dla różnojęzycznych DP, oraz koncerty dla publiczności polskiej i angielskiej.

W jesieni ubiegłego roku przyszła kolej na kontynent. Sereg występów we Francji i Belgii. W Belgii, poza koncertami w środowisku polskim, dwa wielkie recitale-sukcesy w Beaux Arts w Brukseli, koncert w sali Akarowej, wyjazdy na prowincję (Liège, Anvers, Louvain i inne). Razem ponad piętnaście koncertów.

Na kontynencie polskie życie artystyczne biegnie innymi torami niż w Anglii; brak tu jest polskich artystów. A Tola Korian jest artystką na miarę międzynarodową. I dlatego koncerty jej to nie tylko nasza własna przyjemność; to również propaganda i możność podkreślenia wobec naszych gospodarzy, że na tułactwie mamy wielkich artystów. J.J.

List Pasterski Episkopatu Polski

Dokończenie ze str. 3.

4. Kościół a szkoły

Radosną swoją gotowość służenia społeczeństwu okazał Kościół i na odcinku nauczania i wychowania młodych pokoleń. Gdy patrzymy na te wielowiekowe owoce i trudy Kościoła i jego synów, możemy powtórzyć z Prorokiem: „Weselcie się z Jeruzalem, a radujcie się w nim wszyscy, którzy je miłujecie". (Iz. 66,10).

Szkoła, w swym nowoczesnym pojęciu, jest dziełem Kościoła. Szła też ona wszędzie z nim, jako trwałe zjawisko postępowej jego pracy.

W czasach niewoli Kościół w szkołach swoich bronił młodzież polską od wynarodowienia, co zresztą i dziś czyni na obczyźnie przez polskie zakony. Pragniemy, by te historyczne zasługi były uszanowane, by szkoły katolickie zostały zachowane.

Kościół uznaje prawo rodziny i Państwa do kierowania wychowaniem w szkole; stoi też na stanowisku, że wychowanie narodu katolickiego nie może się odbywać bez wspólnoty Kościoła i zabezpieczenia jego praw w szkole i do szkoły.

Rodzice katoliccy muszą mieć zabezpieczone prawo do wyboru szkoły, nie mogą być zmuszani do posyłania dzieci do szkół, w których albo nie ma religii, albo wychowanie opiera się na zasadach sprzecznych z moralnością chrześcijańską.

Religia w szkole nie może być tylko przedmiotem dodatkowym, ale ma być ośrodkiem wychowania, jako siła o wypróbowanej wiekami wartości. Wszak w ostatniej wojnie zwyciężyło nad gwałtem i przemocą sumienie chrześcijańskie, które wołało o prawo serca, o powrót do miłości, o zwycięstwo dobra nad złem.

Młode pokolenie polskie, które w tylu obozach doświadczyło potęgi nienawiści, musi wierzyć w wartość serca, boć ma być przygotowane do budowania sprawiedliwej, miłującej Polski. I dlatego powinno być wychowane na chrześcijańskiej etyce miłości i sprawiedliwości.

Z ufnością oczekujemy, że po tylu zawodnych próbach przyjdzie czas na zwycięstwo poszanowania praw dziecka do Boga, do społecznej modlitwy, uznanie wartości Ewangelii, wychowawczej roli rodziny i Kościoła.

Poczucie sprawiedliwości, pokój społeczny wymagają, aby młodzież katolicka mogła korzystać z wolności zrzeszania się w szkolnych i pozaszkolnych stowarzyszeniach religijnych. Sprawiedliwość rozdzielcza wymaga, aby szkolnictwo katolickie nie było utrzymane w ciągłej dręczącej niepewności swego bytu i prawa do spokojnej pracy. Za wielką krzywdę musielibyśmy uważać upaństwowienie szkół katolickich, pozbawienie ich praw, usuwanie ze szkół prawowitych i zasłużonych zakonnic, zamykanie przedszkoli katolickich, internatów dla młodzieży, przejęcia majątku szkolnego.

Z tą samą troską patrzy społeczeństwo nasze na Katolicki Uniwersytet Lubelski, to dzieło Kościoła polskiego, owoc tylu ofiar poświęceń i pracy. **Rozgłos tej uczelni jest tak wielki, że ograniczenie praw jej uznane byłoby w całym świecie za jeden z dowodów walki religijnej w Polsce.**

5. Pasterskie przestrogi i prośby

Ukochani Bracia i Siostry!

Wezwaliśmy Was do radości z Prawdy Bożej, ze skarbców Nauki Chrystusowej. Uradowaliśmy oczy nasze obrazem niwy, na której wiara nasza wydaje owoce uczynków miłości Boga i Braci. Pragniemy na zakończenie wezwać Was do spotęgowania i Wiary i uczynków miłości.

Widzimy wielki wkład pracy Waszej, wiedzy, cnoty w odbudowę wspólnego domu ojczystego. Widzimy Wasz trud dnia i nocy przy biurku, przy kowadle, przy pługu. Wiemy ile do tej pracy czerpiecie sił i zachęty w świątyni, z ambony, przy konfesjonale. Cenicie sobie te Boże siły, którymi wspierani jesteście w Waszym codziennym trudzie.

Doceniamy wkład trudu Waszego w życie gospodarcze, radujemy się z każdego zdrowego osiągnięcia. Pragniemy byście nie zapominali, że **droga do Polski sprawiedliwej prowadzi przez sprawiedliwość Boga.** Dlatego, prosimy Was, Bracia i Siostry, stójcie silnie w Wierze, opierając się mężnie wszelkiej pokusie odstępstwa od Boga. Gdy stanie przed Wami sprawa wyboru: chleb powszedni, czy słowa żywota, posłuchajcie, jak syn Człowieczy je zwalczył: „Nie samym chlebem żyje człowiek, ale wszelkim słowem, które pochodzi z ust Boga". (Mat. 4,4.5).

A gdyby nawet i wypadło Wam ucierpieć niedostatek w obronie Wiary świętej, to i wtedy uczcie się utratę dóbr Waszych przyjmować z weselem (Żyd. 10,34), albowiem „zapłata Wasza obfita jest w niebiesiech". (Mat. 5,12).

Walczmy o chleb powszedni, ale po Bożemu! Poprawiajmy nasz byt doczesny, ale nie za cenę dóbr nieśmiertelnych.

Potrzeba nam dzisiaj odważnego, mężnego, otwartego wyznania naszej Wiary świętej. Idzie przecież o obronę najświętszych naszych ideałów. Idzie o królowanie Chrystusa na ziemi żyjących, o Jego święte prawo w rodzinie, w szkole, w świecie, w fabryce, w życiu publicznym i prywatnym. Mężni w wyznawaniu i w obronie Wiary, bądźcie pełni miłości i współczucia dla błądzących.

Nie zapominajcie o radosnym zapewnieniu Chrystusa: „Kto mię wyzna przed ludźmi, wyznam go ja też przed Ojcem moim, który jest w niebiesiech" (Mat. 10,32), **Otwarcie przyznawajcie się do Waszego Boga i Kościoła!** Brońcie krzyża świętego. Katolik nie zdejmuje krzyżów ze ścian, nie bierze udziału w bluźnierczych wiecach, nie przykłada ręki do usuwania religii ze szkół, zamykania szkół katolickich.

Pamiętajcie, że im więcej dajecie z siebie Ojczyźnie, tym silniejsze jest Wasze dobro, by uszanowano wiarę Waszą i służbę Bogu. Ufamy, że mężna i otwarta obrona praw **Boga jest** najprostszą drogą do pokoju i pomyślności społecznej.

Młodzieży Katolicka! Pamiętaj o twym rodowodzie Bożym. Chroń się zdrady Twego Ojca niebieskiego i Matki-Kościoła. Nie bierz udziału w zebraniach bezbożniczych, nie podnoś głosu przeciwko Stworzycielowi twemu, nie wyrzekaj się Tego, Który cię umiłował aż do śmierci krzyżowej. **Gwałt zadany twemu sumieniu przez młodocianych bezbożników, przez pisma i związki bezbożnicze, wytrzymuj mężnie i godnie! Nie wchodź między bluźnierców, ani nie zasiadaj w ich radzie. Nie bierz do ręki pism wrogich Bogu. Nie śpiewaj bluźnierczych, budzących nienawiść, obcych duchowi chrześcijańskiemu i ojczystemu hymnów i pieśni.**

Natomiast pilnie czytaj Ewangelię świętą, ucz się gorliwie Prawd Bożych, módl się żarliwie, broń twej czystości i trzeźwości. **Tak pełnij służbę Polsce, byś nie porzuciła służby Bogu! Wiedz, że na drodze zdrady Boga nie zbudujesz lepszej Polski.** Oto nasze prośby i przestrogi!

Zakończenie

Umiłowani Bracia i Siostry! „Dziękujemy Bogu zawsze za Was wszystkich, wspominając Was w modlitwach naszych bez przestanku, pamiętając przed Bogiem i Ojcem naszym na dzieło Wiary naszej i wysiłek miłości i cierpliwość nadziei w Panu naszym Jezusie Chrystusie" (I Tess. 1, 2—3). Gdy mamy przed oczyma Wiarę Waszą, męstwo i radość w przeciwnościach, jakeście „stali się godnymi dla imienia Jezusowego zelżywość cierpieć" (Dzieje Ap. 5,41) — słusznie nazywać Was możemy „weselem i koroną" naszą (Filip, 4,1). „Tak stójcie w Panu, Najmilsi!" (Filip.4. 4).

„Nakoniec, Bracia, wszystko co święte, co miłe, co dobrej sławy, co do cnoty należy, co chwalebne, to miejcie na myśli" — „a Bóg pokoju będzie z Wami". (Filip, 4.8—9).

„Łaska Pana naszego Jezusa Chrystusa z duchem Waszym. Amen. (Filip, 4.23)."

Dan w Krakowie, w Uroczystość Zwiastowania N. Marii Panny 1949 r.

Podpisani:

Adam Stefan Kardynał Sapieha, Książe Arcybiskup Metropolita Krakowski. Stefan Wyszyński, Arcybiskup Metropolita Gnieźnieński i Warszawski — Prymas Polski, oraz wszyscy Biskupi Ordynariusze, Administratorzy Apostolscy i dwaj Wikariusze Kapitulni w Bielsku Podlaskim i Lublinie.

WIADOMOŚCI ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

BETLEEM DOMAGA SIĘ WOLNOŚCI

PRZYBYŁ do Londynu delegat gminy betlejemskiej p. Yusit-Al-Bandak, prosić o pomoc dla miasta Betlejem i jego ludności. Jest on z zawodu dziennikarzem, a ojciec jego jest burmistrzem Betlejemu. Przywiózł on ze sobą list od ojca, adresowany do lorda-mayora Londynu. — P. Yusit, jak lwia część mieszkańców Betlejemu, jest Arabem-chrześcijaninem.

Przed wybuchem wojny palestyńskiej, Betlejem liczyło 15.000 ludności, niemal wyłącznie chreścijańskiej. Obecnie zostało ono zalane rzeszą uchodźców, wygnanych przez Żydów z ich siedzib, — również niemal wyłącznie chrześcijan, tak, że w tej chwili ludności arabsko-chrześcijańskiej znajduje się w Betlejem 50.000. Klasztory zostały otwarte dla dania schronienia uchodźcom, każda rodzina miejscowa przyjęła uchodźców pod swój dach — a jednak tłumy ludzi obozuje pod drzewami, lub wprost pod gołym niebem. Szerzy się wśród nich epidemia tyfusu i ospy.

Samorząd betlejemski był dobrze zagospodarowany. 40.000 funtów gotówki było w kasie. Teraz nie ma ani pensa: wszystko zjadła pomoc dla uchodźców.

Od pierwszych dni wojny palestyńskiej chrześcijanie betlejemscy uzbroili się, zbudowali umocnienia dookoła miasta i byli gotowi bronić siebie samych i znajdujących się w mieście Miejsc Świętych. Do obecnej chwili chrześcijańska samoobrona betlejemska jest niekwestionowanym panem położenia w Betlejemie. Ale co będzie później? Niepodobna utrzymywać własnej siły zbrojnej w nieskończoność: brak na to środków. A grożą społeczności betlejemskiej niepomyślne rozstrzygnięcia polityczne.

Jak oświadcza p. Yusit, betlejemczycy rzecz prosta wolą rządy muzułmańskie od żydowskich. Ale najchętniej uniknęliby i jednych i drugich: również i pod rządami muzułmańskimi nie czuliby się zbyt bezpieczni. Najbardziej odpowiada im pierwotny projekt umiędzynarodowienia Miejsc Świętych, to znaczy, zapewnienia chrześcijanom palestyńskim wolności.

P. Yusit przybył do Europy w dwuch celach: po pierwsze, by prosić o pomoc pieniężną, celem ulżenia niedoli uchodźczej, a powtóre, by starać się o poparcie polityczne, czyli o poparcie postulatu wolności politycznej w ramach umiędzynarodowienia Miejsc Świętych.

Możemy dodać od siebie, że umiędzynarodowienie Nazaretu, mocno już wkluczonego w system państwowy Republiki Izraelskiej i w znacznej części (choć nie w 100%) oczyszczonego z ludności tubylczej, zdaje się obecnie być najzupełniej niemożliwe. Również i umiędzynarodowienie Jerozolimy, w połowie opanowanej przez wojska żydowskie, a w połowie przez wojska transjordańskie (a więc muzułmańskie), staje się coraz to mniej prawdopodobne. Ale może rzeczywiście dałoby się umiędzynarodowienie Nazaretu, mocno już wykluczonego w system państwowy Republiki Izraelskiej i w znacznej części (choć nie w 100%) oczyszczonego z ludności tubylczej, zdaje się obecnie być najzupełniej niemożliwe. Również i umiędzynarodowienie Jerozolimy, w połowie opanowanej przez wojska żydowskie, a w połowie przez wojka transjordańskie (a więc muzułmańskie), staje się coraz to mniej prawdopodobne. A może rzeczywiści dałoby się umięcijańską w Ziemi Świętej — przydzynarodowić i uczynić oazę chrześnajmniej z Betelejem? Skoro napęczniało ono taką liczną masą ludnościową, skoro żyje w jego murach dzisiaj 50 tysięcy chrześcijan, skoro władzę sprawuje w nim zbrojna samoobrona chrześcijańska, — może rzeczywiście mogoby się ono stać czymś w rodzaju chrześcijańskiego wolnego miasta, a więc jakby polityczną „trzecią siłą" w Palestynie, — znajdującą się nie tylko pod polityczną opieką państw chrześcijańskich, ale korzystającą z takiego samego ekonomicznego poparcia całego świata chrześcijańskiego z jakiego sjoniści korzystają od swoich współwyznawców w świecie.

OJCIEC D'SOUZA W ANGLII

NA zlecenie generała Zakonu Jezuitów odbywa właśnie podróż informacyjną po Europie — w tych dniach spędził m. in. tydzień w Anglii — wybitny jezuita indyjski, ks. Hieronim D'Souza.

Ksiądz D'Souza jest rektorem jezuickiego Kolegium św. Ignacego Loyoli w Madras, oraz członkiem zgromadzenia konstytucyjnego Indyj. Odegrał on dużą rolę w walce o zdobycie równouprawnienia dla grup mniejszościowych — między inymi dla chrześcijan — w ciałach ustawodawczych nowego indyjskiego państwa. Jak wskazuje jego portugalskie nazwisko, pochodzi on z tej ciekawej społeczności, którą stanowi portugalska kolonia Goa na zachodnim wybrzeżu Indyj. Kraik ten, należący od XVI wieku do Portugalii i liczący nieco ponad pół miliona ludności, — tyle co połowa naszego województwa wileńskiego, — stał się jakby małą, zamorską Portugalią. Jest to kraik niemal czysto katolicki. Jego górne warstwy społeczne, zwłaszcza w mieście, mówią po portugalsku, ale szeroka masa ludności mówi narzeczami induskimi. Wszyscy jednak są rasowo niemal czystej krwi Indusami, garstka bowiem osadników portugalskich rozpłynęła się oddawna, przez mieszane małżeństwa, w masie nawróconych tubylców. (Jak wiadomo, Portugalczycy dalecy są od wszelkiego rasizmu i w swym imperium kolonialnym małżeństwa z nawróconymi na katolicyzm tubylcami zawsze uważali za rzecz zupełnie naturalną. Natomiast — tak samo zresztą jak Hiszpani — zawsze starali się o rozszerzenie w swoich posiadłościach wiary chrześcijańskiej). Goańczycy uważają się dziś jakby za osobną narodowość: nie uważają się za Indusów, ale raczej jakby za odmianę Portugalczyków.

Kraik Goa nie należy dziś do Indyj, ale wciąż podlega władzy Portugalii. Jednak liczne rzesze emigrantów goańskich żyją w Indiach. Goańczycy stanowią kościec społeczności katolickiej w Indiach, która wskutek tego zabarwiona jest dość silnie wpływem portugalskim. Władza arcybiskupa w Goa, który nosi tytuł patriarchy Indyj, rozciąga się na duże przestrzenie Indyj właściwych. (Podlegają mu również pozostałe posiadłości portugalskie w Azji: wyspa Timor w Indonezji i miasto Macao w Chinach).

Głównym centrum życia katolickiego w Indiach właściwych (t.j. w młodym państwie indyjskim), jest miasto Madras, w którym żyje wielu Goańczyków i skąd przybył ks. D. Souza. Dużym centrum katolickim jest także kraik Travancore. Katolików żyje w Indiach 4 miliony. Wydaje się to mało w porównaniu do ogółu ludności Indyj, sama w sobie jest to jednak liczba znaczna, — większa o jedną trzecią od całej ludności niepodległej Irlandii. Katolicyzm hinduski jest siłą poważną — a znaczenie tej siły powiększa fakt, że społeczność katolicka w Indiach jest społecznością starą: istnieje ona od XVI stulecia, a więc jest zaledwie o półtora wieku młodsza od katolickiej Litwy.

W skład zresztą tej czteromilionowej społeczności katolickiej w Indiach wchodzą nie tylko łacinnicy, ale i spora grupa unitów, wywodzących się z niezmiernie starej społeczności indyjskich chrześcijan wschodnich. Dwa są w Indiach obrządki unickie, — oba na wybrzeżu Malabarskim i oba wywodzące się, wedle tradycji, od gmin chrześcijańskich, założonych w Indiach przez św. Tomasza Apostoła, czyli niemal współczesnych Chrystusowi Panu. Obrządek syryjsko-malabarski liczy 550.000 wiernych, jednego arcybiskupa i trzech biskupów. Obrządek syryjsko-malankarski liczy 36.000 wiernych, jednego arcybiskupa i jednego biskupa. Oba te obrządki w liturgii swej posługują się językiem syryjskim, choć zresztą ich księża znają i łacinę.

Siła chrześcijaństwa w Indiach nie

ogranicza się tylko do siły katolicyzmu. Oprócz 4 milionów katolików jest tam 2 i pół miliona wyznawców innych wyznań chrześcijańskich. Jest wśród nich kilka nieunickich sekt starochrześcijańskich, z których najliczniejsi są jakobici (około 380.000 głów). Jest tam również liczna rzesza protestantów, do których należą pozostali w Indiach po ustaniu rządów angielskich Anglicy, należą t. zw. Eurazjaci (tak nazywają w Indiach mieszańców europejsko-induskich, a więc potomków Anglików, którzy się pożenili z Induskami), oraz należy garść Indusów, nawróconych przez protestanckich misjonarzy.

KRONIKA NIEMIECKA

CZTERY LATA PO KAPITULACJI

Pamiętamy tezę niemiecką, mającą wytłumaczyć klęskę 1918 r.: Armia cesarska nie została pokonana, musiała ustąpić z placu boju z powodu podstępnego uderzenia w plecy przez zrewoltowany naród niemiecki.

W dniu 23 marca wygłosił w Bernie na posiedzeniu szwajcarskiej grupy Unii Międzyparlamentarnej przemówienie dr. K. Adenauer, prezydent Rady Parlamentarnejw Bonn, przywódca chrześcijańskiej demokracji na terenie strefy brytyjskiej.

Dr. Adenauer powiedział według stenografu szwajcarskiej agencji telegraficznej m.in. następujące zdanie: **Nie naród niemiecki a armia niemiecka skapitulowała w r. 1945, byłoby dobrze by świat sobie to uświadomił.**

Oto przykład odwróconej tezy 1918 r. Tym razem nie naród, tylko armia zawiniła.

Demokratyczne, antyhitlerowskie Niemcy, reprezentowane przez czołowego przedstawiciela swego torują — podobnie jak ćwierć wieku temu — drogę do wyzwolenia się z ograniczeń kapitulacyjnych i ponownego wprowadzenia Niemiec jako czołowego partnera polityki europejskiej.

Mowa Adenauera była ponadto przepełniona nienawiścią i oskarżeniami pod adresem zachodnich państw okupacyjnych, szczególnie związku z polityką demontażową.

Nie mogło też oczywiście zabraknąć nieuniknionego caeterum censeo... „Z Berlina nigdy nie zrezygnujemy **i Oder-Neisse-Linie nigdy nie uznamy**“... Kropla w kroplę jak Stresemann. Treviranus, Brüning i Goebbels.

ANI PIĘDZI ZIEMI NIEMIECKIEJ

Żywiołowy protest Niemiec przeciwko obszarom odstąpionym na wschodzie ma pewne przynajmniej uzasadnienie. Niemcy utracili cztery prowincje zamieszkałe prawie przez 10 milionów ludności.

Jak należy jednak tłumaczyć falę nienawiści i groźby, miotanych pod adresem demokracji zachodnich, gdy chodzi o drobne korektury granicy na rzecz Holandii, Belgii i Luksemburga, obejmujące zaledwie 135 km. kw. i 13.500 mieszkańców i będące zaledwie drobnym ułamkiem tego, czego państwa te pierwotnie się domagały, — korektury ,dokonane — jak głoszą protesty niemieckie — „wbrew postanowieniom Karty Atlantyckiej i z pogwałceniem zasad demokratycznych.

Rząd Westfalsko-Nadreński ogłasza manifestacyjny protest. Dr. Adenauer mówi o „niesłychanym dyktandzie“ zapominając o tak mało ważnym fakcie, że Niemcy wojnę przegrały i bezwarunkowo skapitulowały.

Jakub Kaiser, były przewodniczący C.D.U. na terenie wschodniej strefy trafił w sedno rzeczy. **„Odłączenie niemieckich obszarów na zachodzie — mówi Kaiser —może działać tylko jako zły przykład dla wschodu.** Kiedy protestowałem przeciwko granicy na Odrze i Nissie, uważałem za niemożliwe, by także zachodnie państwa zaanektować mogły ziemie niemieckie.“

Słusznie zwraca jedno z pism angielskich uwagę na to, iż niedobrze się stało, że ze sprawą tą zwlekano do roku 1949. Zmiana granicy bezpośrednio po kapitulacji przeszłaby bez echa, dziś służy za pożywkę dla wzniecania uczuć nacjoanlistycznych.

NOWE USTĘPSTWA GOSPODARCZE DLA NIEMIEC

Rada Ambasadorów Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Francji uzgodniła w dniu 30 marca sporne kwestje dotyczące demontażu fabryk niemieckich oraz dalszego wzrostu produkcji przemysłowej.

Komitet Humphrey'a powołany w jesieni r. u. zaproponował pozostawienie 167 zakładów przemysłowych przeznaczonych pierwotnie do rozbiórki. Propozycja ta spotkała się z dużymi oporami ze strony Francji a także Wielkiej Brytanii. Ostatnio osiągnięto jednak kompromis polegający na tym, że zgodzono się na utrzymanie 155 zakładów, 12 natomiast ulegnie demontażowi.

W wyniku decyzji tej zdolność produkcyjna przemysłu niemieckiego będzie znacznie większa aniżeli przewidywał plan anglosaski z sierpnia 1947

Praktycznie oznacza decyzja ta podniesienie w niezadługiej przyszłości produkcji stali niemieckiej do 14 milionów ton rocznie. Odpowiednio wzrośnie oczywiście także produkcja innych działów przemysłu.

Ważnym, dodatkowym postanowieniem Rady Ambasadorów jest zniesienie ograniczeń poczdamskich dotyczących niemieckiej floty handlowej. Niemcy uruchomią ponownie stocznie i pływać będą pod własną flagą. Nowo budowane okręty niemieckie nie będą rzekomo mogły wykraczać ponad wyporność 7 tysięcy ton i szybkość 12 węzłów.

Postanowienia Rady Ambasadorów wymagają aprobaty odnośnych rządów.

MISJA AMBASADORA R. NADOLNEGO

Poważniejsze znaczenie przypisuje się niedawnemu pobytowi na Zachodzie Niemiec Rudolfa Nadolnego b. ambasadora Rzeszy w Moskwie, w latach 1933-34. Nadolny uchodził zawsze za zwolennika porozumienia niemiecko-rosyjskiego. Po zakończeniu działań wojennych działał na terenie wschodniej zony, jako prezes Czerwonego Krzyża. Rosjanie traktowali go w sposób uprzywilejowany, pozostawiając mu — mimo przeprowadzonej reformy rolnej — majątek jaki posiada na terenie Brandenburgii.

W ciągu minionych trzech lat propagował Nadolny ideę współdziałania niemiecko-rosyjskiego, prowadząc w oparciu o sztab urzędników b. niemieckiego Auswärtiges Amt studia nad zagadnieniem powyższym. W charakterze szefa tego biura studiów utrzymywał w ciągu minionych lat stały i bliski kontakt z niemieckim Biurem Prac Kongresowych w Sztutgardzie, będącym podobnym co biuro Nadolnego ośrodkiem studiów nad polityką zagraniczną prowadzonym jednak przez dyplomatów o orientacji zachodniej.

Ostatnia podróż jego nabrała olbrzymiego rozgłosu w prasie. W dniu 13 marca odbył Nadolny w Godesberg kilku godzinną konferencję z czołowymi polityki zachodnio-niemieckimi. W konferencji tej brali m. innymi udział dr. Pünder, dyrektor naczelny Würtschaftstrafu (C.D.U.) prof. Erhard ,dyrektor departamentu ogólno-gospodarczego Würtsschafratu (C.D.U.), Blücher b. minister skarbu kraju westfalsko-nadreńskiego, dr. Steltzer, b. premier Schlezwigu, były ambasador von Prottwitz (doradca dla spraw polityki zagranicznej C.S.U. w Bawarii), b. ambasador Gaffron oraz dr. Hermes, b. przewodniczący C.D.U. na terenie wschodnich Niemiec, złożony z urzędu przez Sowietów roku 1945. Dr. Adenauer, prezydent Rady Parlamentarnej nie brał udział w rozmowach. Socjaldemokraci odmówili także udziału.

Tematem konferencji, była, sprawa „jedności“ Niemiec która — zdaniem Nadolnego — stanowi podstawowy kanon polityki niemieckiej. Nadolny dowodzi, iż należy dążyć do zneutralizowania „zjednoczonych“ Niemiec w sporze między **Wschodem i Zachodem**. Zjednoczone Niemcy pozostawione poza zasięgiem zimnej wojny będą mogły odegrać ponownie naturalną rolę swoją w gospodarstwie europejskim i odbudować **stosunki** handlowe ze wschodem Europy i państwami bałkańskim.

Rezultat misji p. Nadolnego nie jest znany .Prasa zachodnio niemiecka rozpisuje się obszernie na temat „misji pokoju“ przeważnie ją krytykując, ale podnosząc jednocześnie, że Nadolny stary dyplomata szkoły bismarkowskiej, nie może być uważany za agenta rosyjskiego. Sam Nadolny podkreśla niezależność swoją od Rosjan, zwraca uwagę na fakt zamieszkania w brytyjskim sektorze miasta Berlina. Jeśli wysuwa koncepcję, mogącą być interpretowaną jako prorosyjską, to czyni to w głębokim przekonaniu, że interes niemiecki takiego właśnie rozwiązania wymaga.

Misja Nadolnego stoi niewątpliwie w związku z ponownym odroczeniem terminu utworzenia państwa zachodnio-niemieckiego. Bezspornym jest, że parlamentarzyści w Bonn nie spieszą się z pracami swoimi i bynajmniej nie palą się do tworzenia kadłubowego państwa zachodnio-niemieckiego.

ROZSTANIE

Dokończenie ze strony 2

Wyklina na wszystkie biura podróży, bo czeka tu już dwa miesiące na okręt i nie może odpłynąć.

— Cholera, panie, z nimi, sam nie wiem, co mnie podkusiło, żeby jechać. Teraz sobie ciągle mówię: I co, Romuś, źle ci tu było w tej Francyji?

Potem uspokaja się i powiada:

— No tak, panie, ale podatki. Już nie mogłem. Pracuj i pracuj dla tych kontribusją. Co zapłaciłem, to ci znowu coś znaleźli i peje, peje (payer — płacić). Teraz znowuż płać im jakieś sześćdziesiąt tysięcy. Zezłościłem się, wszystko po cichu sprzedałem i ale! (Allez — jazda). Panie, czy tylko ten „Jagiełło“ napewno będzie?

— Myślę, że tym razem już napewno.

— No — kolega już jest. Po fachu. Wieje, jak ja.

Zaraz po obiedzie wsiadamy do autobusu. Nicea, Monte Carlo, Mentona. W Mentonie cicho i spokojnie, jak zwykle. Piszemy kartki, jemy lody. Tym autobusem, to nie to samo. Za bogato, za wytwornie. Jestem umyty i nieopalony, w długich spodniach, po dobrym obiedzie. Niższa kategoria ludzi. Już nie mówię o dymie, ale cebulą odemnie nie jedzie. Czuję trochę wstręt do samego siebie i coś jakbym to nie ja tu był. W drodze powrotnej w kasynie. Nawet nie pytają o nazwisko przy wejściu, nic nie sprawdzają. Wchodzi się jak do kina. Psieje tu wszystko. Podfilipskiego trafił by szlag.

Do Cannes wracamy w nocy. Mlaskają łódki i jachty w małym porcie. Wiatr ustał, cisza i wygwieżdżone niebo.

Cannes, 26.6.48.

Pożegnanie z morzem, całe przedpołudnie na plaży. Po mistralu woda jest zimna. Słońce pali, bawię się z przemiłym pieskiem. Jutro już się nie liczy. Odprawa celna, gwar, tłum. Po obiedzie na leżakach w ogródku pensjonatowym. Jeszcze kartki, jeszcze listy, jeszcze ostatnie słowa stąd.

Cannes, 28. 6. 48.

Uf! Całe przedpołudnie zepsute oczekiwaniem na ciężarówkę, zbierającą bagaże. Przyjechali wreszcie po obiedzie. Rozgardiasz wzorowy. Odprawa celna miała zacząć się o 3-ej, zaczęła o 5-ej. Agent Linji Gdynia-Ameryka jest nieprzytomny, ale zadowolony. „Jagiełło“ będzie napewno. Wrzask, pchanie się na odprawie celnej, rejestracja bagażu. Znowu przyklejanie jakichś etykietek, numerków, pisanie kredą. Jest mi w końcu wszystko jedno. Inicjatywę przejmuje moja mniejsza połowa, „uwodzi“ celników i tragarzy, pisze i maluje po walizkach. Znowu trzeba coś płacić, Romcio — stolarz wydaje piski zarzynanego wieprza. Jest już drugi towarzysz. Młody dentysta z Krakowa, Żyd, bardzo sympatyczny. Wyjechał niedawno, więc wspólnie łazimy po Krakowie.

Płynie do Venezueli. Prawie wszyscy tam wysiadają. „No — od Venezueli będzie luźniej“ — myślę i przypomina mi się dawne i nieuniknione „Od Chabówki będą miejsca“. To samo, tylko w trochę większym wymiarze.

Jestem wymiętoszony tym popołudniem. W pokoju już nic nie ma. Wszystkie rzeczy, nawet podręczne walizeczki, zostały w komorze celnej. Ostatnie szwy pękają. Ostatnia noc. Już naprawdę.

Andrzej Bobkowski

Z LISTÓW DO REDAKCJI

Kiedy zmarł Ręczyński?

Szanowny Panie Redaktorze!

Do bardzo interesującego artykułu p. Jasnowskiego o „ostatnim z tysiąca walecznych“ (w nr. 17 „Życia“) zakradła się omyłka. Kpt. Jerzy Ręczyski zmarł nie w r. 1885, lecz dopiero w czternaście lat później, dnia 26 lutego 1899 r., przeżywszy lat blisko 96.

Wiadomość o jego zgonie podał paryski „Bulletin Polonais“, wydawany przez stowarzyszenie b. uczniów Szkoły Batignolskiej, w numerze 129 z d. 15 kwietnia 1899 r. Notatka dodaje, że na miejsce wiecznego spoczynku odprowadziły Ręczyńskiego tłumy mieszkańców Londonderry „składając hołd jego charakterowi, wiedzy i cnotom“. Warto tu dodać, że w tym mieście północnej Irlandii Ręczyński spędził z górą czterdzieści lat swego niewątpliwie bardzo bujnego żywota.

Rok 1899 jako datę jego śmierci podaje również Encyklopedia Trzaski i Ewerta.

W ostatnich latach życia, aż do zgonu, Ręczyński pobierał od literackiego Towarzystwa Przyjaciół Polski w Londynie zasiłek w wysokości 1 funta miesięcznie z t.zw. Funduszu Gnorowskich (Gnorowski Fund). przeznaczonego na wspomaganie znajdujących się w niedostatku weteranów walk o niepodległość Polski. Zachowały się kwity odbiorcze z lat 1893 i 1897 z jego bardzo kaligraficznym podpisem: George Renczynski, No 2 Princes Street, Londonderry, North of Ireland.

Wypadki długowieczności wśród emigrantów polskich z roku 1831 nie były rzadkie. Dnia 19 lipca 1908 r. w Joinville le Point we Francji zmarł Józef Kownacki, urodzony w r. 1806 w Płocku. Przeżył z górą 102 lata; do siedemdziesiątego czwartego roku życia czynny był we Francji jako nauczyciel rysunków. Był prawdopodobnie ostatnim z uczestników powstania listopadowego, którzy zmarli na wygnaniu.

Łączę wyrazy poważania

B. Przeradzki

Londyn, 7 maja 1949.

Czy istniał chorąży Kotula?

Szanowny Panie Redaktorze!

Dopiero teraz przeczytałem skierowany pod moim adresem list chorążego „Kabe“, drukowany w Nr. 18 (97) „Życia“, a dotyczący fragmentu mej powieści, opublikowanego w Nr. 15 (94) pt. „Moja wina, moja wina...“ Pośpieszam z odpowiedzią — nie tyle redakcji, ile autorowi listu oraz tym czytelnikom, którzy może podzielają jego zastrzeżenia.

Przede wszystkim pragnę podziękować Panu Chorążemu za wielką radość, jaką mi sprawił, przyjmując wytwór mej wyobraźni za osobę żywą. Jest to najwyższa nagroda, jaką może otrzymać pisarz za swą pracę. Oczywiście pochwałę tę przyjmuję „z dobrodziejstwem inwentarza“, to znaczy zdaję sobie sprawę, że jest wynikiem nieporozumienia.

Mianowicie p. „Kabe“ najwidoczniej nie zauważył odnośnika umieszczonego pod fragmentem „Moja wina, moja wina...“, wyjaśniającego, że jest to rozdział **p o w i e ś c i** pt. **„Słowo o bitwie“**. Jak powszechnie wiadomo, powieść jest fikcją artystyczną i choć soki swe czerpie z życia, nie ma prawa go imitować. Pan chorąży „Kabe“ widocznie poplątał powieść z opowiadaniem, bo tego właśnie terminu używa pisząc o moim utworze. Być może uległ sugestii mej książki „Po Narviku był Tobruk...“, która istotnie była zbiorem opowiadań i w której rzeczywiście opisywałem przeważnie (lecz nie wyłącznie) mych kolegów i znajomych z S.B.S.K., zmieniając nieznacznie ich nazwiska.

W powieści „Słowo o bitwie“ stosuję technikę czysto powieściową. Bitwa, którą opisuję, nie jest bynajmniej bitwą pod Gazalą, choć elementy terenowe i taktyczne zaczerpnięte są z tej bitwy — jedynej, w której brałem udział. Gdyby p. chorąży „Kabe“ zechciał zadać sobie trud zapoznania się z recenzją „Słowa o bitwie“ pióra dra Wita Tarnawskiego, zamieszczoną w Nr. 1/2 (339/40) „Orła Białego“, łatwo przekonałby się, że opisywana przeze mnie, najzupełniej fikcyjna bitwa, toczy się pod wyimaginowaną miejscowością El Ain (początkowo nazwałem tę miejscowość Humaną, ale potem zdecydowałem dać nazwę o brzmieniu bardziej realistycznym) i to w innym czasie niż bitwa gazalska, mianowicie już po przystąpieniu do wojny Stanów Zjednoczonych. Latem ukaże się w paryskiej „Kulturze“ fragment „Słowa o bitwie“ opi-

CZY ISTNIAŁ CHORĄŻY KOTULA?

Dokończenie ze str. 7

sujący spotkanie jednego z bohaterów z patrolem amerykańskim.

Pragnę zapewnić Pana Chorążego, że wszystkie postacie w mej powieści są zmyślone. W szczególności ani X. Antoni Matusiński, ani chorąży Kotula nie są skopiowani z jakiegokolwiek żołnierza S.B.S.K. Żadnego kapelana Brygady i żadnego chorążego osobiście nigdy nie znałem. Nazwiska tych fikcyjnych osób są dziełem mojej Żony, która zwykle dostarcza mi „garderoby" dla moich bohaterów, twierdząc, że mam skłonność do wymyślania nazwisk sztucznych, czego należy unikać.

Proszę również Pana Chorążego, aby przyjął me zapewnienie, że komponując postać Kotuli nie miałem zamiaru zniesławić podoficerów polskich, a w szczególności chorążych. Jeśli to sprawi pewną ulgę memu oponentowi, to niech się dowie, że chorąży Kotula nie jest jedynym tchórzem w mej bitwie. Jest ich sporo, m.in. jest por. (pełny porucznik z dwiema gwiazdkami) Gajek, st. sierżant Feliks Skrobek (rzecz ciekawa, że gdy — jeszcze w Jerozolimie, w dwut. „W Drodze" — ukazał się rozdział o tym osobniku, oczywiście także zmyślonym, znaleźli się również czytelnicy, twierdzący, iż skrzywdziłem jakiegoś prawdziwego Skrobka, czy też osobę do niego podobną), dalej jest plutonowy Siuta i wielu strzelców, przeżywających męki strachu. (Zastanawiam się, czy nie stworzyć dodatkowo tchórza — kapitana, albo majora...)

(Przy okazji proszę wszystkich czytelników, którzy przypadkiem noszą wymienione wyżej nazwiska, aby czym prędzej dali mi znać, że istnieją i umożliwili mi w ten sposób zmianę nazwisk mych bohaterów; jestem człowiekiem spokojnym i nikomu nie chcę się narażać).

Tyle, jeśli chodzi o zastrzeżenia i zarzuty p. Kabe. Sądzę, że list jego jest zdarzeniem pożytecznym i pouczającym. Przyczyni się może do lepszego zrozumienia pracy pisarza, który, mając na oku cele poznawczo-artystyczne, z elementów wymaginowanych i zaobserwowanych stwarza nową, wewnętrznie prawdziwą całość, wewnętrznie przez siebie przeżytą rzeczywistość.

Z LISTÓW DO REDAKCJI

Dokończenie ze str. 7

Nikt, nawet mój surowy krytyk i obrońca chorążych, nie zaprzeczy, że w każdej bitwie zdarzają się tchórze. Ci tchórze w powieści muszą mieć jakieś stopnie wojskowe, jakieś nazwiska, a przede wszystkim muszą żyć, aby, poruszyć czytelników — jak udało się chorążemu Kotuli poruszyć chorążego „Kabe".

Wreszcie na zakończenie pragnę podziękować memu miłemu oponentowi za „awansowanie" mnie na podchorążego a nawet oficera. Niestety, w bitwie pod Gazalą byłem strzelcem (i to bez cenzusu, bo noszenie wężyków cenzusowych było w Brygadzie zabronione), a z wojska wyszedłem jako st. ułan. Byłem wprawdzie dwukrotnie w podchorążówkach (w r. 1926 w Polsce i w r. 1942 w Egipcie i w Palestynie), ale w obu przypadkach zły stan zdrowia uniemożliwił mi ukończenie kursu.

Zechce Pan, Panie Redaktorze, przyjąć wyrazy mego szacunku

Janusz Jasieńczyk

P.S. Może niektórych czytelników zabawi szczegół, że nazwisko „Kotula" pochodzi z bajki, zapamiętanej przez mą Małżonkę z dzieciństwa. W bajce tej czarodziejskie zaklęcie brzmiało: „kotula, kotula — gdzie twoja koszula".

J.J.

JAKIE KSIĄŻKI REKLAMUJE „KLUB KSIĄŻKI POLSKIEJ"?

Szanowny Panie Redaktorze!

Pasjami lubię książki. Poprzez wojsko taszczyłem uparcie pełne dwie skrzynie. Na pierwszą wiadomość o powstaniu Klubu Książki Polskiej zapisałem się na członka i rozpocząłem werbowanie kolegów. Cieszyłem się jak dziecko. Teraz niestety cieszę się, że sprawa Klubu wypłynęła na łamy ŻYCIA w innej, smutniejszej formie. List ten piszę po to, aby zwrócić uwagę Pana Redaktora na formę, w jakiej Klub zachwala swój towar czonkom i niecz‌łonkom. Bo o dość „dziwnym" doborze książek wszyscy wiedzą. Nikt jednak nie wie, jakich to „5 **polskich literatów i krytyków literackich**" wybiera te książki jako komisja selekcyjna. Myślę, że nazwiska te bardzo by nas zainteresowały...

Otóż kiedy się czyta te zachwalania, odnosi się wrażenie, że pisali je ludzie nieco nienormalni na tle erotycznym. Nawet powieści z prawdziwej literatury polskiej, takie które w normalnym zupełnie procencie przetkane są problemem i motywiką erotyczną, w biuletynach klubowych zachwalane są jak wyczyny Pitigrilliego z okresu przed jego nawróceniem. Czy naprawdę nie stać kierowników Klubu na nic więcej niż na zwyczajny interes kosztem gania na najtańszej, wulgarnej „popularności"? Skutek jest taki, że nawet dobre i pożyteczne książki, które w selekcjach zajmują około połowy — aż rażą w otoczeniu innych w kontekście z ich najczęściej nieprawdziwymi recenzjami. Po co wtłaczać siłą do rynsztoku rzecz tak wielką, piękną i naturalną jak miłość?

Wszystkie zarzuty łatwo mogę poprzeć dowodami, bo materiały Klubu zbieram skrzętnie. Na wielokrotne listy w tych sprawach kierownictwo Klubu odpowiada lakonicznie apelem, aby wierzyć, że Klub z całą pewnością dąży do szerzenia i utrwalania **kultury polskiej wśród emigracji**... Niestety, **nie wierzę!** A tak bardzo chciałbym uwierzyć.

Dlatego piszę ten list.

Z poważaniem

A. M. S.

(Nazwisko i adres znane Redakcji).

WIECZORY TEATRALNE

Jerzy Pietrkiewicz: „SAMI SWOI". Sztuka w 3 aktach. Prapremiera P. Teatru Dramatycznego w „Ognisku Polskim". Reżyser: L. Pobóg Kielanowski. Dekoracje: Jan Smosarski.

TWÓRCZOŚĆ dramatyczna polska nigdy nie była zbyt obfita. Tu, na emigracji rzadko mamy możność oglądania nowych sztuk polskich. Zasługą Teatru Dramatycznego jest pokazanie nam kilku już pra-premier. Były to jednak dotąd albo sztuki okolicznościowe, przeloone, albo, jak w wypadku „Takie jest twoje przeznaczenie" Cwojdzińskiego, powtórzenie przez autora tematów z dawnych jego sztuk. Obecnie po raz pierwszy właściwie od tak mieliśmy możność oglądania czegoś zupełnie świeżego nieprzemijającego. Myślę o sztuce Pietrkiewicza „Sami swoi", której londyńska premiera odbyła się 4-go maja.

„Sami swoi" nie jest właściwie komedią obyczajową. Jest to dramat przeplatany akcentami farsowymi. Głównym problemem sztuki jest zagadnienie władzy. Objawia się ono w podwójnym konflikcie: o władzę nad gospodarstwem chłopskim i o władzę w gminie. Centralną postacią jest wójt, który nie występuje na scenie, lecz którego obecność czy to w pierwszym akcie w polu za domem, czy w drugim sąsiedniej izbie na łożu śmierci czy w trzecim na marach w kościele, ciąży nad wszystkimi postaciami i nad całą akcją. W pierwszym akcie oczekujemy wciąż wejścia wójta i choć nigdy ono nie następuje, sam nastrój oczekiwania wiąże nas z postaciami na scenie. Wójt ma dwóch następców: następca w urzędzie jest wieloletni rywal i sąsiad, następcą w gospodarstwie syn. Autor pokazuje jak obaj oni zmieniają się, jak wchodzą niespodziewanie w rolę zmarłego. Akcent końcowy wyjaśnia sens sztuki: młody spadkobierca siedzi pogrążony w myślach z których nie może go wyrwać ani wezwanie siostry ani ukochanej ani matki; wchodzi wróg i następca ojca i odzywa się do niego „gospodarzu!" To słowo jest słowem zaklęcia: młody otrząsa się z myśli i wstaje.

Rzecz dzieje się w środowisku dostatnich gospodarzy na wsi mazowieckiej (ściśle w Dobrzyńskim) w okresie dwudziestolecia, bliżej drugiej niż pierwszej wojny światowej. Obraz tej wsi jest zupełnie niepodobny nie tylko do wsi Wyspiańskiego ale i do wsi Rostworowskiego. Na premierze londyńskiej publiczność dyskutowała o tym, na ile jest autentyczny, przyczem ludzie wysuwali bardzo różne i nieraz sprzeczne ze sobą wątpliwości. Wydaje mi się, że jest tu nieporozumienie charakterystyczne dla ludzi z miasta. O ile obraz nawet tak różnych środków miejskich jak Wilno i Katowice jest, mimo wszystko podobny, o tyle wieś bardzo różna. Nie można dyskutować, czy to jest autentyczny obraz wsi polskiej, lecz czy to jest autentyczny obraz wsi z Dobrzyńskiego z lat trzydziestych. Nie ma powodu w to wątpić... Postacie ze sztuki doskonale „siedzą" na przecięciu miejsca i czasu. W tych Nawirskich i Grzegorzewskich czuje się wyraźnie potomków w prostej linii mickiewiczowskich Maćków z Dobrzyńskiego Zaścianka. Atmosfera wsi nie jest podmiejska ale nie jest już zamknięta w sobie. Wysyła się depesze, córki wydaje zamąż do miasta, na pogrzeb ubiera na czarno, na śniadanie pije się kawę a gościa wpuszcza „od frontu". Autorytety są nowe i dawne. Jeszcze jest dziedzic, choć tylko w roli najzamożniejszego sąsiada, pleban i organista ale już jest codzienna obecność Państwa w postaci policjanta i urzędnika Starostwa.

Wątek miłosny, wątek kłótni spadkobierców, wątek sporu o nową plebanię grają rolę drugorzędną wobec zasadniczego problemu władzy i odpowiedzialności. Temperamenty są mazowieckie. Niektóre typy tak kapitalne, że pozostają na trwałe w pamięci ze wszelkimi szczegółami. Taki stary Grzegorzewski, przywtarzający sam sobie; taki niezmiernie polski chłop i mazowiecki polityk wiejski, Nawirski, taki przygłupi złodziejaszek-wierszokleta Brzózka są czymś więcej niż postaciami charakterystycznymi. Jest jedna osoba, której autor oszczędził wszelkiej groteski i która wychodzi jakoś dziwnie ciepło na tym tle: wójtowa. Odtworzona jest z synowskim sentymentem, choć nie wyidealizowana (i ona przecież w dzień pogrzebu męża z najwyższym zainteresowaniem odnosi się do skandalu lokalnego). Najtrudniejsza i najmniej wycieniowana jest postać syna wójtowego. W jego nagłej przemianie, zupełnie możliwej psychologicznie, czegoś nam brak, musimy mu wierzyć trochę na słowo. Najjaskrawsze światło satyry skupia się na ludziach z miasta.

Pod tym względem jest to sztuka istotnie wiejska. Każdy z nas świadomy jest jak zabawnie wygląda wieśniak na tle wielkomiejskim, Pietrkiewicz ukazuje jak pokraczny jest mieszczuch na wsi. Mowiący wciąż o inteligencji urzędniczyna-legionista Kukułka-Wiśniewski, który „kocha chłopa w ogóle ale nie znosi wsi", chwilami jest bardziej postacią z satyry niż z komedii. Całość wyraźnie żyje i nie pozwala zapomnieć o sobie po wyjściu z przedstawienia. Pietrkiewicz liryk ze skłonnością do teoretyzowania, tu pokazał, że jest także dramaturgiem. Tematycznie „Sami swoi" nawraca wyraźnie do pierwszego poematu autora: „Prowincja" i ma wiele z jego świeżości. Możnaby nawet zarzykować twierdzenie, że w sztuce jest lekki anachronizm: nastrój wsi jest z okresu „Prowincji", z lat przed kryzysem gospodarczym 1928-go roku; portret Wiśniewskiego i jego żony należy raczej do lat „opierzonej" sanacji. Sam autor objaśnia, że to drugie dziesięciolecie niepodległości".

Teatr Dramatyczny dał ze siebie wszystko. Podniesienie kurtyny powitano burzą oklasków. Na malkiejskiej scence Smosarski zrobił prześliczną izbę wiejską wykorzystując każdy metr sceny i nawet proscenium. Kostiumy są opracowane z niezwykłą starannością i inteligencją. Różnice w ubraniach starszego i młodszego pokolenia, w strojach odświętnych i codziennych dają pełne złudzenie rzeczywistości. Trudna sprawa dialektu została naogół przezwyciężona. Jedynie Brzózka chwilami jakoś dziwnie śpiewnie zaciąga, nie po mazowiecku, a Zocha ma inteligencką intonację. Jeżeli kogoś wymieniać odzielnie, to chyba państwa Butchérów, ją w roli wójtowej a jego w roli Nawirskiego. Oboje dali to, co się nazywa kreacją. Nikt nie psuł. Jedyne poważniejsze zastrzeżenia budzi rola Marychy (nie uwypuklona, że jest głupawa), Karpowicz, Bzowski i Modrzeński pokazali galerię postaci charakterystycznych ulderzających a nie przeciągniętych, co było tak łatwo. Tym razem reżyserowi Kielanowskiemu naprawdę się udało.

Wojciech Wasiutyński

PRZEGLĄDY MUZYCZNE

FELIETON NAPASTLIWY

W CZASIE świąt byłem z braciszkiem w ogrodzie zoologicznym. Stanęliśmy przed klatką z kangurami.

— Co to jest?

— To jest kangur.

— **Dlaczego?**

Pytanie wcale nie głupie; przeciwnie bardzo logiczne. Chciał wiedzieć „wszystko", od „samego początku" o kangurze.

A teraz przenieśmy sens tej historyjki na pole muzyczne:

— „To jest muzyka". „Dlaczego? Poco?" Dopóki nie potrafimy, sobie odpowiedzieć na to pytanie, chodzenie na koncerty jest bezsensownym marnowaniem czasu, a w radiu o wiele lepszym zajęciem byłoby słuchanie nadzwyczajnych przygód Dick Bartona.

Naturalnie odpowiedzi na takie pytania mogą być różne; dla kompozytora muzyka jest sposobem wyładowywania swego temperamentu, dla wytwórców pasty do zębów „Tallulah", jedną z lepszych metod ogłaszania się. Nie, o celu muzyki może mówić tylko słuchacz.

Dwu takich słuchaczy wypowiedziało swoje opinie w „Penguin Music Magazine". Mamy dwie odpowiedzi. Według Scott Goddarda muzyka powinna człowieka podnosić, wywyższać. Jest to sztuka wysoce logiczna, którą trzeba przestudiować, i dopiero będąc przygotowanym, po odrzuceniu uczuciowości, możemy naprawdę docenić muzykę. Trzeba być słuchaczem, a nie słuchającym.

Nonsens! — sprzeciwia się C.B. Rees. — Tego rodzaju twierdzenie łączy muzykę z moralnością. Stąd płynie potępienie jazzu jako niemoralnego. A dlaczegoby jazz miał być bardziej niemoralny, niżeli jeżdżenie na łyżwach? Muzyka nikogo bardziej nie „unosi", niż wino, nikogo nie ulepsza: muzycy z racji swej sztuki nie są lepsi niżby byli, gdyby nie byli muzykami. Muzyka nie ma celu: po prostu jest i sprawia przyjemność. — „Ars gratia artis."

Rzeczywiście, moim zdaniem Scott Goddard przesadził. Nie są mi znane wypadki, żeby muzyka kogoś „podniosła"; jeszcze nigdy nie słyszałem, żeby ktoś na skutek koncertu wstąpił do klasztoru albo zabrał się do studiowania filozofii. Natomiast spotkałem się z ludźmi, którzy po dobrym koncercie — jak przyjaciel pana Rees'a, — chcieliby pocałować pierwszego spotkanego policjanta.

Tak, muzyka sprawia satysfakcję: ma się rozumieć, mówię o dobrze wykonanym utworze. Taki utwór nam się podoba, „zadowala" nas. — Ale to właśnie jest celem muzyki, panie Rees. Zadowolenie nas podnosi, polepsza. I tu się zgodzę z panem, panie Goddard. Ale suche, akademickie i wyprane z uczuciowości studiowanie muzyki — nie! to nam nic nie daje. Siedzenie na sali koncertowej w niedzielnym ubraniu i w pobożnym namaszczeniu, punktowanie koncertu uwagami jak: „Co za wspaniałe użycie dominantu septymowego"! „Ach, ta zmniejszona septyma w 135 takcie"! albo: „Jak ślicznie przedstawiona łąka! — Czy nie słyszysz tych chrabąszczy?" — jest dziką hipokryzją. Muzyka nie jest na to, żeby się nad nią pocić i wysilać na namaszczenie miny. Ani nie ma w niej co szukać zbyt konkretnie chrabąszczy i strumyków: z małymi wyjątkami kompozytorzy nigdy nie chcieli przedstawiać nam łąki w lecie o godzinie czwartej po południu, ale wrażenie, uczucie, jakie stamtąd wynieśli.

Pozatym takie twierdzenie Goddard'a bierze za pewnik, że muzyka musi być „ładna". A to jest nie prawdą. Cukierkowata „łagodność" jest najgorszym wrogiem sztuki, czego dobrym przykładem są amerykańskie ogłoszenia tudzież obrazki na pudełkach od czekoladek. Natomiast weźmy takie „Allegro Barbaro" Bartoka. Reakcją przeciętnego psa na nie byłoby zwinąć ogon pod siebie i uciekać. A jednak w całej swojej brutalności i egzotyźmie to „Allegro" jest piękne. Nie „ładne", ale piękne. Rozróżnijmy te dwa pojęcia: ładność, która nas chwilowo łechce i piękność, która nam sprawia rzetelną satysfakcję.

Zbyt poważne i naukowe podejście do muzyki przez słuchaczy jest szkodliwe i dla tych „którzy się wieczenie „wysilają" nad muzyką, i dla tych mniej zaawansowanych, którzy w rezultacie dochodzą do wniosku, że muzyka klasyczna jest czymś „co będzie dla nich wiecznie zamkniętym sezamem, czymś „nie do zrozumienia". Przy takim fałszywym podejściu korzystać z muzyki będzie tylko mały odsetek ludzi, których muzyka „wprowadza w ekstazę."

Nie znaczy to, żeby studiowanie muzyki miało nam psuć przyjemność słuchania; przeciwnie, pomaga nam, ale studium należy traktować jako metodę a nie cel. Sztuka jest symbolem ludzkiego podboju życia, najlepszym sposobem łączenia prądów w danym okresie. Człowiek znajduje w niej swoje własne, ludzkie uczucia i odczucia, które by często chciał wyrazić, a nie potrafi.

Jeżeli muzyka uprzyjemnia nam życie i pomaga w trzymaniu kroku w marszu, jeżeli wywołuje wytupywanie nogami taktu, jeżeli melodię łatają nam po głowie, czy ostatecznie, jeśli rodzi w nas chęć całowania policjantów: wtedy spełnia swój cel. I to jest celem muzyki.

Andrzej Hierowski

ŻYCIE, KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO - SPOŁECZNY

Wydawca:

VERITAS FOUNDATION PUBLICATION CENTRE

Adres redakcji i administracji:

POLISH WEEKLY „ŻYCIE" — 12, Praed Mews, London, W.2

Telefony: Redakcja i Administracja — AMB 679, Drukarnia — PAD 9734

Redaktor przyjmuje: po uprzednim telefonicznym porozumieniu.

Administracja czynna: codziennie od godz. 9 do 13 iod 14 do 17 z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt.

Prenumerata: płatna jest z góry i wynosi miesięcznie 3/6, kwartalnie 10/-

Wszelkie wpłaty: przekazywać należy Postal — lub Money orderami względnie czekami bankowymi „crossed" i wystawionymi na **VERITAS FOUNDATION PUBLICATION CENTRE. Ceny ogłoszeń:** 1 cal przez 1 łam £ 1. W tekście 50% drożej, na stronie tytułowej 100% drożej. Za treść ogłoszeń nie przyjmuje się odpowiedzialności. **Do zbierania ogłoszeń upoważniona jest wyłącznie:** f-ma THE CARLTON BERRY CO LTD., Grand Buildings, Trafalgar Square, London, W.C.2. Telefon ABB 5108.

Printed by: „Veritas Foundation Press"
12, Praed Mews, London, W.2. Tel. PAD. 9734.